DGP
Dziennik Gazeta Prawna

Magazyn na Weekend



RYS. PATRYK KOCH, FOT. SHUTTERSTOCK (7), UNSPLASH (4)

Esej / M**3**

Poza dobrem i złem?

Największym wrogiem moralności w polityce są uzurpatorzy, którzy sądzą, że wiedzą, czym jest dobro wspólne

dowodzi Sebastian Stodolak

Opinia / M**5**

Kurz opadnie, system zostanie

Naszym problemem nie jest ani sama Barbara Mróz-Gorgoń, ani jej raport – lecz system, który ją stworzył i wypromował

pisze Witold Sokała

Wywiad / M**8**

Nie jesteśmy pieszczochami

Nie toczymy z PiS żadnej wojny, gdzie indziej widzimy przeciwników. Wypchnięto nas – OK, było, minęło

mówi Łukasz Schreiber

DGP.pl DZIENNIK GAZETA PRAWNA NR 167 (6836), 28–30 SIERPNIA 2026, CENA 11,90 ZŁ (W TYM 8% VAT), ISSN 2080-6744

eprasa.pl 28ea867565

Opinia / M**10**

Podatkowa licytacja

Na tle pojawiających się propozycji zmian podatkowych projekt rządowy jest najmniej populistyczny. Najprawdopodobniej nie przekona to jednak prezydenta Nawrockiego

zauważa Piotr Wójcik

Motoryzacja / M**20**

Osiedle zamiast polityki przemysłowej

Dla sprawdzenia „co by było, gdyby…" istnieje ciekawszy scenariusz niż podstawienie Renault w miejsce Daewoo. Chodzi o decyzję, by nie oddawać nikomu z zewnątrz kontroli nad marką FSO

pisze Piotr Arak



FOT. WOJTEK GÓRSKI

Dużo narzekania, mało działania

Jan Wróbel

Studia są przereklamowane – słychać z różnych stron. Ostatnio okazję do takich stwierdzeń dało wydanie przez rząd raportu „Polaków portret własny", co, okazuje się, oznacza ściemę z użyciem AI. Ale i bez promocji marki Marna Nauka działalność bardzo wielu wydziałów, a nieraz całych uczelni, obrasta narzekaniami i kpiną, a nie szacunkiem.

A zatem, bardzo wiele szkół wyższych to jakby szkoły zawodowe. Tyle że kiedyś po wyjściu ze szkoły zawodowej czekała maszyna, zaś dzisiaj czeka Excel. A, i jeszcze w tych szkołach nabywa się umiejętności posługiwania się przedziwną mieszaniną języka menedżerskiego (nie mandaryńskiego, jak podał raport) i piarowskiego z dużym udziałem anglicyzmów, z dodatkiem polskiej składni (doskonale opisuje ten proces Igor Zalewski w wykładziku na Kanale Zero, polecam).

Przy tym wielu wykładowcom jakby się nie chce. Zalatani, zabiegani, traktują zajęcia ze studentami jak pańszczyznę. Nielubianą, a konieczną, by móc brać udział w uczelnianym życiu, czyli w składaniu wniosków o granty. Dodajmy, co mówią (znowu – nie wszyscy przecież) akademicy. Zajęcia nudne? A jakie mają być, skoro większość studentów trafiła na studia chyba za karę, czekają na pączki, ale sami sobie mąką rąk nie ubrudzą.

Co gorsza, o ile można zrozumieć, że w pogoni za masą zgubiono jakość studentów, o tyle zaskakuje to, jak często są rozczarowani także wykładowcy uczący na wydziałach cieszących się dobrą reputacją. Takich, na które zdali ci mający bardzo dobre wyniki na maturze. Nie powoduje to jednak automatycznie, by jako studenci stawali się oni zaradni, samodzielni, żądni naukowej przygody.

I jeszcze to wyrabianie punktów. Bo poza naukowcami oszustami są wcale liczni pracownicy szkół wyższych, wybitni, zaangażowani i tęskniący do czasów dużej autonomii pracy naukowej. Autonomii zminimalizowanej, odkąd pozycję naukowca wyznacza nie dorobek, lecz dorobek punktowy.

Jakoś to o Polsce świadczy, że narzekania jest w tej sprawie dużo, tylko działania mało. Naukowcy oburzają się dzisiaj, że zestawia się ich z działaniami prof. Mróz-Gorgoń. Faktycznie, to krzywdząca opinia. Wzięła się stąd, że w innych, daleko mniej malowniczych sprawach, szkoła wyższa zawiodła, a środowisko poprzestało na narzekaniu, działanie zostawiając kilkunastu zapaleńcom albo politykom. ©℗



FOT. KALADA BRIGGS/AMAZING AERIAL/FORUM

Afryka / M**14**

Zerwać z talasofobią

Afryka, która w pierwszych miesiącach konfliktu w Zatoce Perskiej mocno ucierpiała, teraz zaczyna się zastanawiać, jak skorzystać na kłótni o cieśninę Ormuz

relacjonuje Mariusz Janik

DGP Więcej niż gazeta: wideo, podcasty, analizy na DGP.pl

DGP | Magazyn na Weekend

Redakcja:
ul. Burakowska 14
01-066 Warszawa
tel. 22 530 40 40
e-mail: dgp@infor.pl

Redaktor naczelny: Tomasz Pietryga

Zastępcy redaktora naczelnego:
Łukasz Guza, Łukasz Wilkowicz

Dział Dodatków Poradniczych:
Monika Bugaj-Wojciechowska

Magazyn:
Anna Masłoń (kierownik),
Piotr Czarnowski, Emilia Świętochowska, Maciej Weryński

Kraj, Świat i Gospodarka:
Michał Potocki

Opinie: Marcin Kube

Podatki i Księgowość:
Katarzyna Jędrzejewska,
Marcin Mroziuk (tygodnik PiK),
Magdalena Sobczak (tygodnik RiA)

Samorząd i Administracja oraz Kadry i Płace:
Agata Eichler,
Joanna Pieńczykowska-Rybaczyk (tygodnik SiA), Leszek Jaworski (tygodniki KiP i UiŚ)

Firma i Prawo oraz Prawnik:
Małgorzata Kryszkiewicz, Izabela Rakowska-Boroń (tygodnik FiP)

Projekt graficzny:
Marek Knap,
Adam Głowacki

Centrum Reklamy
tel. 22 530 44 44
e-mail: reklama@infor.pl

Dyrektor Centrum Reklamy:
Marcin Ośmiałowski

Dyrektor Marketingu:
Krystyna Wieczorkiewicz

Wiceprezes Zarządu:
Marcin Krawczak

Biuro Opiekunów Klienta:
ul. Burakowska 14
01-066 Warszawa
tel. 22 761 30 30,
801 626 666
e-mail: bok@infor.pl

Partnerskie biura ogłoszeń:
Mariusz Zarzycki
tel. 519 061 309

Druk:
Seregni Printing Group S.A.

Wydawca Dziennika Gazety Prawnej:
INFOR PL S.A.
ul. Burakowska 14,
01-066 Warszawa
tel. 22 530 40 40

Grupa INFOR PL
Prezes zarządu: Ryszard Pieńkowski

Zamówienia na prenumeratę przyjmują:
Kolporter,
Garmond Press,
GLM, AS Press
oraz urzędy pocztowe

Informacje o prenumeracie:
tel. 22 761 30 30
dgp.pl/prenumerata

Redakcja zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania tekstów. Rozpowszechnianie materiałów redakcyjnych zarówno w formie elektronicznej, jak i papierowej bez zgody wydawcy jest zabronione.

Materiały oznaczane jako: artykuły sponsorowane, prezentacje, cykle, teksty promocyjne, reklama, materiały partnera, materiały na zlecenie, materiały powstałe przy współpracy z (...), subiektywnie, debata, partner, organizator, nazwą wydarzenia (np. Perły Samorządu), partner wydania oraz inne o tożsamym charakterze stanowią materiały reklamowe w rozumieniu art. 36 ustawy z dnia 26 stycznia 1984 r. – Prawo prasowe.

© – znak zastrzeżenia praw autorskich; ℗ – znak odpłatności; ©℗ – dwa znaki przy artykule oznaczają możliwość jego dalszego wykorzystania wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem (www.gazetaprawna.pl/licencje) i w zgodzie z Regulaminem korzystania z artykułów prasowych

eprasa.pl 28ea867565

Poza dobrem i złem?



RYS. PATRYK KOCH, FOT. SHUTTERSTOCK (6), UNSPLASH/STEFFEN LEMMERZAHL

Największym wrogiem moralności w polityce są uzurpatorzy, którzy sądzą, że wiedzą, czym jest dobro wspólne

Sebastian

Stodolak

Czy zabiłbyś dziewięcioletnie dziecko? Głupie pytanie, prawda? No, dobrze. A czy zabiłbyś dziewięcioletnie dziecko, gdyby było to ceną za uratowanie znacznie większej grupy ludzi? Przed takim dylematem stają bohaterowie filmu „Niewidzialny wróg" z 2015 r. Dowództwo operacji antyterrorystycznej namierza grupę przygotowującą zamach samobójczy i chce wyeliminować ją zdalnie za pomocą pocisku Hellfire. W pewnym momencie w polu rażenia pojawia się jednak dziewięcioletnia Alia. To uruchamia serię narad na najwyższym szczeblu – zarówno wojskowym, jak i politycznym. W pewnym momencie z ust postaci granej przez Helen Mirren pada: „Życie wielu dzieci jest zagrożone, a to tylko jedna dziewczynka".

Co powiedzielibyście na takie dictum? Jasne, większość z nas nigdy się nie znajdzie w takiej sytuacji i przez to łatwo nie dostrzec sensu podobnych rozważań. W istocie jednak my wszyscy co cztery lata, głosując, udzielamy licencji na podejmowanie – nawet w warunkach pokoju – codziennych decyzji o być albo nie być osób, których nie znamy.

Ale czy politycy faktycznie stoją ponad zwykłą moralnością? I czy chcemy mieć u władzy osoby przekonane, że tak właśnie jest?

Syndrom pychy

Proszę sobie wyobrazić, że jest Pan/Pani premierem i decyduje, które ustawy rząd przedstawi pod głosowanie sejmu, a które nie, jakie decyzje w sprawach, w których prawo daje im taki przywilej, podejmą ministrowie. Cenzuruje Pan/Pani ich zapędy, wskazuje kierunki, wytycza ogólną linię – to na Panu/Pani spoczywa ostatecznie odpowiedzialność za to, jak państwo zachowuje się wobec obywateli.

Konkretniej? Podniesione podatki zabierają komuś chleb. Obniżone wymagają cięć wydatków gdzie indziej, więc… też zabierają komuś chleb. Gdy nie pozwala się komuś wybudować domu albo fabryki, rujnuje się jego plany. Gdy się pozwala, rujnuje się plany tych, którzy będą narażeni na efekty zewnętrzne danej budowy.

Gdy będąca pod Pana/Pani władzą policja podejmuje próbę siłowego stłumienia zamieszek, jest szansa, że ktoś ucierpi. Gdy nie podejmuje, sytuacja również może wymknąć się spod kontroli, tyle że w inny, równie groźny sposób. Gdy ogłasza Pan/Pani, że cudzoziemcy będą deportowani nawet za błahe przewinienia, może Pan/Pani zniszczyć dorobek czyjegoś życia. W przeciwnym razie pozwala Pan/Pani, by obcy rzezimieszek rozbisurmanił się do tego stopnia, że zgwałci w końcu kobietę albo brutalnie napadnie i okradnie Bogu ducha winną osobę. I tak źle, i tak niedobrze, ale jakąś decyzję podjąć trzeba.

Politycy w takiej sytuacji mogą powiedzieć, że nie wiedzą, czy to, co robią, jest w 100 proc. właściwe, ale mogą także przyjąć postawę butną – stwierdzić, że nie mają żadnych wątpliwości. I, niestety, tę drugą postawę wybierają częściej. Lekarz David Owen i psychiatra Jonathan Davidson sugerują w pracy „Hubris syndrome: An acquired personality disorder?" z 2009 r., że może to być nie tyle przejaw świadomego cynizmu, ile… objaw realnej zmiany osobowości, do której dochodzi po objęciu władzy. Bazując na portretach psychologicznych amerykańskich prezydentów i brytyjskich premierów z ostatnich 100 lat, badacze doszli do wniosku, że w pewnych sprzyjających warunkach – przy posiadaniu dużej władzy przez dłuższy czas, dużych sukcesach politycznych i braku krytyki – wykształca się w rządzących syndrom pychy, czyli „przytłaczającej pewności siebie i pogardy wobec innych", który to syndrom „może skutkować katastrofalnym ▷

eprasa.pl 28ea867565

przywództwem i spowodować szkody na wielką skalę". Zdaniem autorów kwestię tę można wręcz rozpatrywać w kategoriach medycznych.

Osoby dotknięte syndromem pychy są przekonane, że odpowiadają wyłącznie przed Bogiem albo przed historią – w żadnym razie przed wyborcami. Świetnie oddaje to stwierdzenie Henry'ego Kissingera, doradcy amerykańskich prezydentów, który w 1970 r. komentował prawdopodobny demokratyczny wybór Salvadora Allende na prezydenta Chile: „Nie rozumiem, dlaczego mielibyśmy stać z boku i patrzeć, jak kraj popada w komunizm z powodu nieodpowiedzialności własnych obywateli. Te kwestie są zbyt ważne, by pozostawić decyzję w tej sprawie samym chilijskim wyborcom". Dobrą ilustracją problemu jest także wypowiedź premiera Donalda Tuska z 2024 r.: „(...) musimy działać w kategoriach demokracji walczącej. (...) prawdopodobnie nie raz popełnimy błędy lub podejmiemy działania, które według niektórych autorytetów prawnych mogą być nie do końca zgodne z literą prawa, ale nic nie zwalnia nas z obowiązku działania".

Demokratyczny pierścień Gygesa

Innym objawem pychy związanej z władzą jest przekonanie o bezkarności. Władza – nawet w dobrze urządzonej demokracji – działa jak pierścień Gygesa. Przypomnijmy: w „Państwie" Platona Glaukon przytacza opowieść o pasterzu Gygesie, który znajduje pierścień czyniący jego posiadacza niewidzialnym. Nie wykorzystuje on pierścienia, by po kryjomu czynić dobro, tylko wdziera się na dwór króla, by go zabić, przejąć władzę, wcześniej zaś uwieść królową. Glaukon wskazuje jasno sens opowieści: „(...) każdy, gdzie tylko myśli, że będzie mógł krzywdy wyrządzać bezkarnie, tam je wyrządza". A władza przecież pozwala na więcej.

Polityk unika kar, a jeśli te już na niego spadają, to zazwyczaj są łagodniejsze, niż gdyby dosięgły zwykłych śmiertelników. Na przykład wobec eksprezydenta Francji Nicolasa Sarkozy'ego w trzech odrębnych sprawach orzeczono łącznie dziewięć lat pozbawienia wolności. Sprawy dotyczyły m.in. korupcji, płatnej protekcji i nielegalnego finansowania kampanii. W więzieniu Sarkozy spędził trzy tygodnie, odbywając część kar pod elektronicznym dozorem.

Jednak – zgodnie z sugestią Owena i Davidsona – nie jest raczej tak, że władza wraz z pychą wpycha polityków w cynizm. Owszem, może się tak zdarzyć, ale co do zasady jest mało prawdopodobne, by osoby, które prywatnie są zwykle dobrymi rodzicami, partnerami czy przyjaciółmi, w życiu publicznym wybierały świadome czynienie zła. Rządzący wydają nam się egoistycznymi bubkami przekonanymi o swojej racji i bezkarności, ale oni tak siebie nie widzą. Uważają się za osoby dobre, a trudne decyzje usprawiedliwiają powierzoną sobie misją. Takie spojrzenie na polityków pozwala wyjaśnić, dlaczego im więcej mają władzy, tym surowiej oceniają oszustwo i tym częściej sami się go dopuszczają. Taki wynik dał eksperyment opisany w pracy „Power increases hypocrisy: moralizing in reasoning, immorality in behavior" z 2010 r.

> Nie jest oczywiste, co jest mniejszym złem. Kradzież jest mniejszym złem niż zabójstwo, to jasne. Ale kradzież czy obsadzenie państwowej spółki partyjnymi nominatami?

Cóż to jednak za misja, która stawia polityków poza dobrem i złem? Realizacja dobra wspólnego. Nie istnieje pojęcie, którego opaczne rozumienie wyrządziło więcej krzywdy rodzajowi ludzkiemu. Gdy politycy u władzy wierzą, że ich zadaniem jest określenie, a potem realizacja bonum commune, usprawiedliwić mogą już wszystko.

Samo to pojęcie jest tak stare jak filozofia. U jej zarania – w czasach Platona czy Arystotelesa – odnosiło się do wspólnoty, w której ramach jednostki miały realizować ideał rozumnego, a więc dobrego życia. W epoce rzymskiej dobro wspólne zaczęto silniej łączyć z dobrem samej republiki. To, co dobre dla wspólnoty, powinno wzmacniać republikę – i odwrotnie. Celem były trwałość i stabilność. W myśli chrześcijańskiej zaś dobro wspólne złączono z ponadnaturalnym celem, jakim jest zbawienie.

Przez 2 tys. lat dobro wspólne było definiowane jako coś wykraczającego poza sumę dóbr poszczególnych obywateli. W XVII w. tradycja podporządkowania jednostki wyższemu niż ona sama dobru pękła. Spod pióra Johna Locke'a wyszły „List o tolerancji" i „Dwa traktaty o rządzie". Dobro wspólne czy też publiczne zostało przedstawione nie jako przestrzeń do realizacji władzy, lecz jako jej ograniczenie. Zdaniem Locke'a realizuje się ono wówczas, gdy państwo zapewnia jednostkom pokój i bezpieczeństwo, a nie gdy wskazuje im, jak konkretnie powinny się zachowywać. Gdy je chroni, a nie gdy je niańczy.

Gdyby ludzkość poprzestała na tej definicji, świat mógłby uniknąć kilku poważnych kataklizmów w rodzaju wojen światowych. Niestety, od czasów Jeana-Jacquesa Rousseau, autora „Umowy społecznej" z 1762 r., dobro wspólne zaczęto definiować w sposób nieostry, pozwalający na wyjątkowo dużą swobodę interpretacyjną. Rousseau pisał o „woli powszechnej", której wyrazicielem jest wspólnota polityczna i która jest szersza niż suma partykularnych interesów. Po nim pojawił się Hegel, utożsamiający dobro wspólne z państwem, które jest celem samym w sobie. Wolność miała się realizować w państwie, a nie przeciw niemu. Od XIX w. rywalizowały ze sobą kolektywistyczna i indywidualistyczna tradycja rozumienia dobra wspólnego. Pierwsza była jak formularz, w który można było wpisać dowolną obrzydliwość. Urodziła totalitaryzmy, wojnę i śmierć.

Ale jakie dobro wspólne mają na myśli demokratyczni politycy w XXI w., gdy mówią – jak były wicepremier Piotr Gliński – że „jest potrzebne każdemu dobrze funkcjonującemu społeczeństwu"?

Mówi się: trudno

Żyjemy w epoce politycznego pragmatyzmu. Pojęcia są płynne. Polityka jest grą o władzę, więc dobro wspólne definiuje się tak, by w danej sytuacji służyło władzy. Używając go, politycy nie odnoszą się zwykle do konieczności głębokiego namysłu nad tym, jak kształtować politykę państwa, by jak najlepiej służyła wszystkim, tylko do konkretnych przypadków, w których pojawia się opór, a w których oni mają już silne stanowisko i jasny cel. Dobro wspólne jest pojęciem skutecznym w forsowaniu tego celu.

Dlatego właśnie w odwołania do dobra wspólnego obfitują dyskusje o nowych zakazach czy podatkach. Nie zawsze jest ono przywoływane explicite. Często ukrywa się w języku odpowiedzialności za wspólnotę sugerującym, że absolutnie każde nasze działanie jakoś wpływające na innych należy do sfery podlegającej politycznym uregulowaniom.

Problem w tym, że trudno wskazać działania jednostki, które w żaden sposób nie wpływają na innych. W rezultacie przestrzeń decyzji politycznej jest w zasadzie nieograniczona. Demokracja staje się liberalna tylko z nazwy. Pragmatyczne podejście do dobra wspólnego produkuje wiele jego jednostkowych odmian, ale niemal wszystkie lokuje w obrębie tradycji kolektywistycznej. W ten sposób „dobro wspólne" staje się wyjątkowo skutecznym sposobem racjonalizacji własnych posunięć – nawet jeśli na poziomie jednostki bywają krzywdzące, na poziomie ogółu są pożyteczne, a więc usprawiedliwione.

To tradycja postrzegania działań władzy zrywająca z klasycznym – wyrażanym już przez Cycerona – stanowiskiem, że to, co pożyteczne, z zasady nie może pozostawać w konflikcie z tym, co godziwe. Dzisiejsi politycy idą raczej za myślą Machiavellego, który radził władcy, by w razie potrzeby umiał porzucić to, co dobre. A kiedy zachodzi taka potrzeba? – Gdy wymaga tego racja stanu – odpowiadali chóralnie późniejsi teoretycy. Tak rozumiany interes państwa wymaga, by rządzący co jakiś czas deklarowali niczym lord Farquaad w Shreku: „Zapewne wielu z was zginie, ale jest to poświęcenie, na które jestem gotów". I by co jakiś czas wydawali wyrok śmierci na dziewięciolatki, które przypadkiem znalazły się na linii ognia.

A że to po prostu niemoralne? Socjolog Max Weber nazywał tych, którzy uważają, że polityk może się kierować wyłącznie moralną słusznością czynu, politycznymi dziećmi. Przekonywał, że działania polityczne mają wielowarstwowe konsekwencje, a zadaniem polityka jest te konsekwencje zbadać i podjąć decyzję, czy warto dane działanie przeprowadzić. To etyka odpowiedzialności. Obszar niepewności i subiektywnej oceny. Według Webera politycy, dysponując monopolem na użycie siły, zawierają swoisty pakt z diabłem: nie istnieje taki świat, w którym ich poczynania będą bezkosztowe. Mówi się: trudno.

Jeszcze dalej w takim rozumowaniu poszedł Amerykanin Michael Walzer, współczesny filozof polityki, popularyzując pojęcie brudnych rąk. Stosował je na oznaczenie sytuacji, w której jawnie niemoralne działania władzy są uzasadnione przez konieczność ochrony większej wspólnoty. W ten sposób warunkową aprobatę mogą zyskać nie tylko naloty dywanowe na zamieszkane miasta, jak te prowadzone przez aliantów w czasie II wojny światowej, lecz także (jak wskazywał inny teoretyk brudnych rąk Bernard Williams w eseju „Politics and Moral Character") zło prozaiczne i dziejące się w czasach pokoju. Kłamstwo, które ma na celu utrzymanie poparcia dla ważnego społecznie projektu, łamanie obietnic wyborczych, gdy wymaga tego układ sił w parlamencie, sojusze z osobami budzącymi odrazę, jeśli celem jest przeforsowanie ważnej ustawy... To dopuszczalne. Polityk może pobrudzić sobie ręce, jeśli to konieczne.

Przy urnie

Teorie, które zwalniają władzę z działania w bezwzględnej zgodzie z moralnością, mogą wyglądać na zdroworozsądkowy realizm zastosowany do opisu tragizmu polityki. Tyle że w praktyce tworzą usprawiedliwienie dla wyrzucenia polityki poza nawias dobra i zła. Mam wiadomość dla teoretyków spod znaku Walzera: politycy będą sobie brudzić ręce, nawet gdy im na to nie pozwolicie, a kiedy pozwolicie, będą to prawdopodobnie robić częściej. Wasz „realizm" po prostu daje im na to licencję.

Ale ze świecą szukać moralnego realisty, który stwierdziłby, że zły czyn dzięki polityce staje się dobry. Mamy tu raczej do czynienia ze stosowaną teorią mniejszego zła, którego rozpoznanie zostawia się rządzącym. To podejście jest wysoce problematyczne. Ze względu na dobrze opisaną selekcję negatywną do urzędów publicznych akurat politycy nie są wystarczająco kompetentni, by powierzać im tak skomplikowane zadanie. Po pierwsze, nie jest oczywiste, co jest mniejszym złem. Kradzież jest mniejszym złem niż zabójstwo, to jasne, ale co w parze: obsadzenie państwowej spółki partyjnymi nominatami i kradzież? Po drugie, jeszcze trudniejsze są przewidzenie wszystkich konsekwencji danej decyzji i ich ocena w kontekście tego, czy faktycznie uda się dzięki niej uniknąć zła większego.

Nie wydaje mi się, żeby ktokolwiek z nas chciał, by politycy podejmowa-

eprasa.pl 28ea867565

li zbyt wiele subiektywnych, arbitralnych i niepewnych decyzji dotyczących naszego życia. Intuicja moralna każe nam oczekiwać, że ich działania będą podejmowane tylko tam, gdzie to niezbędne, oraz że będą za każdym razem przejrzyste i dobrze (tj. na podstawie jak najszerszego konsensusu) usprawiedliwione. Nie chcemy, by czuli się zwolnieni z etyki. Ale czy takie oczekiwanie jest realistyczne?

Można argumentować, że tak. W internecie furorę robią filmy z Ronaldem Reaganem. Na przykład z debaty z Walterem Mondalem, jego oponentem w wyborach. Reagan, zapytany o to, czy jego zaawansowany wiek (był rok 1984, a on miał wówczas 73 lata) nie przeszkodzi mu w wykonywaniu prezydenckich obowiązków, odparł: „Nie. I nie uczynię wieku kwestią tej kampanii. Nie zamierzam wykorzystywać do celów politycznych młodości i braku doświadczenia mojego oponenta" [który miał 56 lat – red.]. Nawet Mondale się zaśmiał. To był znak markowy Reagana: wysokiej klasy humor, brak agresji, spory dystans do siebie. Cytowani wcześniej Davidson i Owen zauważają, że wśród amerykańskich przywódców Reagan był powszechnie uznawany – obok m.in. Harry'ego Trumana czy Geralda Forda – za osobę pozbawioną pychy, arogancji i poważnych zaburzeń psychicznych. Ale to on ukuł termin Imperium Zła na określenie ówczesnego Związku Radzieckiego. Nie używał języka moralnego w sposób makiaweliczny, czyli narzędziowy. Przeciwnie – świadomie wprowadzał w obszar polityki język zwykłej moralności jako dotyczący w równej mierze zarówno obywateli, jak i przywódców. System ZSRR był zły, bo pozbawiał ludzi wolności i godności, a rozprzestrzeniał się drogą krwawych rewolucji i wojen. Jako taki wymagał silnej i aktywnej reakcji.

Dzięki postawie Reagana – działającego w harmonii z ówczesnym papieżem Janem Pawłem II i ruchem Solidarność – udało się Polskę spod sowieckich wpływów uwolnić, a potem nawet rozmontować ZSRR. Polityka sprzężona z etyką i nieuzurpująca sobie prawa do jej porzucenia okazała się skuteczna i pożyteczna.

Oczywiście nie sugeruję, że Reagan był postacią krystaliczną. Jego administracja wielokrotnie podejmowała działania wysoce dyskusyjne. Nie wiem też, jaką podjąłby decyzję w sprawie dziewięciolatki. Celowo jednak operuję idealizacją pokazującą kierunek myślenia, który przyda się nam przy urnach wyborczych – poszukiwanie spójności i klarowności oraz stosowanie wobec siebie tego samego standardu co wobec przeciwników politycznych.

To filtr, który pozwala nam dostrzec wśród polityków tych mających jasny kompas moralny i choćby minimalną pokorę poznawczą. Ten zestaw cech sprawia, że dobro i zło dostrzegają we właściwych miejscach, rozumieją własne ograniczenia i nie chcą poszerzać zakresu swojej władzy. Wtedy pojawia się też szansa na to, że będą skuteczni. ©℗

Autor jest wiceprezesem
Warsaw Enterprise Institute

Kraj

Barbara Mróz-Gorgoń podczas konferencji prasowej w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, 29 lipca 2026 r.



FOT. LESZEK SZYMAŃSKI/PAP

Kurz opadnie, system zostanie

Naszym problemem nie jest tak naprawdę ani sama Barbara Mróz-Gorgoń, ani jej raport – lecz system, który ją stworzył i wypromował. Ona może odejść w niesławie, ale patologiczne mechanizmy pozostaną

Witold

Sokała

Pod koniec lipca premier Donald Tusk na specjalnej konferencji prasowej przedstawił pełnomocniczkę rządu ds. promocji marki Polska. Podkreślił, że stojąca u jego boku dr hab. Barbara Mróz-Gorgoń, profesorka Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu i prezeska Fundacji Marka Polska Think Tank, to „najwybitniejsza w Polsce specjalistka od kształtowania marki", która już od dłuższego czasu doradza polskiemu rządowi.

Było miło... dopóki ekspert Instytutu Sobieskiego Sebastian Meitz (związany z Prawem i Sprawiedliwością) nie opublikował w mediach społecznościowych serii wpisów dotyczących dokumentu pt. „Polaków portret własny – Część I. Raport o DNA marki Polska – perspektywa wewnętrzna". A potem po stronie rządowej nastąpiła komunikacyjna i wizerunkowa katastrofa. Premier taktycznie milczał, przerażeni ministrowie plątali się w zeznaniach, uszczęśliwieni posłowie opozycji zapowiadali wnioski do prokuratury, internauci wyżywali się na kuriozalnych zdaniach z nieszczęsnego „raportu", a sama „najwybitniejsza specjalistka" udzieliła kilku wywiadów, w których zaprezentowała się – delikatnie mówiąc – fatalnie, pokazując mieszankę niekompetencji, egzaltacji i tupetu. I dolała oliwy do ognia.

Dopiero po dłuższym czasie ktoś przekonał lub zmusił ją do dymisji, ale nawet wtedy, zamiast uderzyć się porządnie w pierś i przeprosić, użaliła się nad hejtem, który uniemożliwia jej kontynuowanie misji. Najwyraźniej nadal nie rozumiejąc, że jest on tylko dodatkiem do merytorycznej krytyki, a wina leży właśnie po jej stronie. A jeszcze później w mediach pojawiły się kolejne informacje, coraz bardziej kompromitujące i dla niej samej, i dla układu towarzysko-polityczno-biznesowego, w którym funkcjonowała. Pośrednio także dla premiera i całej stojącej za nim koalicji.

Naukowość vs. naukAwość

Tydzień później rząd nadal nie ma dobrego pomysłu, jak z tego kryzysu wybrnąć. Pojedyncze akcje sympatyzujących z nim wolontariuszy nie załatwiają sprawy, tym bardziej że niektóre z nich są jeszcze bardziej zabawne niż sam raport oraz tłumaczenia jego autorki. Niestety, z drugiej strony – czyli szerokiej koalicji oburzonych – też da się zauważyć pewną bezradność wobec istoty problemu. Bo nie są nią ani deficyty jednej pani, ani nieudolność premiera. Problem jest głębszy – i ma charakter systemowy. W dodatku na paru poziomach.

Pierwszy z nich dotyczy, niestety, jakości naszych kadr naukowych oraz ich ścieżek kariery. Jeśli osoba mająca stopień doktora habilitowanego, zatrudniona przez renomowaną uczelnię publiczną na stanowisku profesora, od lat prezentująca się przed koleżankami i kolegami na konferencjach i ucząca młodzież, seryjnie popełnia błędy merytoryczne, za które student dostałby przy zaliczeniu ocenę niedostateczną – to coś tu jest nie tak.

I nie chodzi o samo użycie sztucznej inteligencji – to dzisiaj rzeczywiście norma. Tyle że w porządnych badaniach zleca się AI tylko to, w czym faktycznie może być sprawniejsza od żywego człowieka (research, tłumaczenia, porządkowanie obfitego materiału), a nie oczekuje się od niej gotowego opracowania. Czyta się potem uważnie i weryfikuje pracę algorytmów, mając świadomość ich ograniczeń. Nie tylko usuwa się oczywiste bzdury, w rodzaju „Katowic w północnym centrum", nie tylko kasuje się językowe potworki, ale przede wszystkim krytycznie konfrontuje się wiedzę własną i innych badaczy, zawartą we wcześniejszych, recenzowanych publikacjach, z wytworami nowego instrumentu. W naukach społecznych stosuje się też metody jakościowe, czyli np. wywiady z małymi, niereprezentatywnymi grupami respondentów, lecz potem nie uogólnia się ich rezultatów na całość populacji. Robi się ponadto porządne przypisy odsyłające precyzyjnie do weryfikowalnego źródła, a nie wrzuca się tylko „Eurostat", „GUS", „OECD" czy „World Bank". Nie podaje się sprzecznych danych w różnych miejscach tekstu. I wreszcie, co być może kluczowe, nie stawia się pytań badawczych dotyczących spraw oczywistych, by potem z namaszczeniem obwieścić te oczywistości światu, ubrane w mądrze brzmiącą nowomowę. ▷

eprasa.pl 28ea867565

Naśladowcy nie znikną

A przynajmniej – nie powinno się tego robić, bo wstyd i obciach. Nawet w „wersji roboczej", jeśli przy maksimum dobrej woli uznamy ów raport za takową, wbrew znanym faktom (na oficjalnej stronie Ministerstwa Sportu i Turystyki można było przeczytać, że w listopadzie ubiegłego roku autorka prezentowała ów raport w Akademii Leona Koźmińskiego, w obecności sekretarza stanu Piotra Borysa).

Barbara Mróz-Gorgoń popełniła wszystkie wyżej wymienione grzechy, plus jeszcze kilka innych – i niechcący pokazała szerokiej rzeszy Polaków, że naukowa hucpa pozwala robić karierę w branży. Dostarczyła w ten sposób znakomitych argumentów przeciwko lepszemu finansowaniu polskiej nauki. Bo to przez pryzmat jej wyczynów są teraz oceniani także inni, rzetelni badacze. Bez wątpienia bardziej liczni, ale co z tego?

Można się oczywiście zżymać na ten niesprawiedliwy medialny mechanizm i na populistyczne ataki na całe środowisko, można (i trzeba) próbować ratować sytuację przez fachową krytykę winowajczyni, przez (nieco spóźnione, ale jednak) odcinanie się od niej i wskazywanie właściwych standardów. Pojawiły się więc stosowne oświadczenia rzecznika Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich Wojciecha Dąbrówki i kilku zacnych profesorów. To jednak trochę mało, bo opinia publiczna nie tylko już wie swoje, lecz także ma sporo racji. Bo takich „pań Baś" płci obojga niestety w polskiej nauce znalazłoby się jeszcze trochę. Nierzadko tupet, układy rodzinne, kontakty towarzyskie plus pracowite publikowanie ton byle czego we właściwych periodykach (albo po prostu dopisywanie się do pracy koleżanek i kolegów) pozwalają względnie łatwo przeskakiwać kolejne szczeble awansu, pełnić funkcje i brylować zupełnie bezkarnie. Przynajmniej do zderzenia z realną, publiczną, a nie tylko wewnątrzbańkową oceną, jak to zdarzyło się w tym przypadku.

Ludzie z branży o tym wiedzą, frustrują się tym, ale zazwyczaj milczą ze względów oportunistycznych. A system tymczasem nie tylko utrudnia zwalnianie osób nieuczciwych lub niekompetentnych, lecz wręcz je premiuje, bo często doskonale wpisują się w czysto ilościowe kryteria oceny pracownika, jednostek organizacyjnych i całych uczelni. Bez drastycznych i dobrze przemyślanych zmian w prawie nie ulegnie to zmianie, nawet przy dowolnie ostrej krytyce pechowca przyłapanego na błędach. Naśladowcy nie znikną, będą co najwyżej – przez jakiś czas – bardziej ostrożni i mniej ostentacyjni.

Decydent wie lepiej

Kolejny poziom problemu to relacje pomiędzy decydentami, zwłaszcza tymi z sektora publicznego, a środowiskiem eksperckim. Teoria jest piękna. „Nauka korzysta ze szczególnego kredytu społecznego zaufania. Profesor wypowiadający się publicznie nie jest – i nie powinien być – odbierany dokładnie tak samo jak internetowy influencer czy przedstawiciel tzw. komentariatu. Raport opisany jako efekt badań otrzymuje inny status niż wpis na Facebooku. Ekspertyza przygotowana przez naukowca ma oddziaływać właśnie dlatego, że odbiorca zakłada istnienie metod, standardów, weryfikacji i odpowiedzialności" – twierdzi rzecznik KRASP. Z drugiej jednak strony mamy praktykę, w której bardzo często decydent po prostu sam wie lepiej, a profesorskie strategie, analizy i opinie są mu potrzebne jedynie jako dekoracje. Czasami – bo tak wypada. Czasami – bo dadzą się wykorzystać marketingowo. Czasami – bo przy okazji ich zamawiania można się dopuścić albo dyskretnej korupcji wobec wybranych, zaprzyjaźnionych jednostek, albo wręcz wyprać pieniądze przekazywane z publicznej kasy na cele partyjne. Ostatnim z wyobrażalnych i bodaj najmniej powszechnym celem zamawiających jest poszukiwanie odpowiedzi na pytania o faktyczny stan rzeczy i możliwe rozwiązania, czyli o to, co w świecie idealnym powinno się znaleźć u podstaw programów i konkretnych decyzji politycznych.

To skutek z jednej strony specyficznej mentalności decydentów, zakładających, że zdobycie licznych głosów wyborczych lub nominacja od partyjnego szefa automatycznie czyni ich geniuszami. A przy tym gdzieś w głębi duszy chyba często niepewnych siebie i obawiających się przyznania do niewiedzy, a więc do zadawania pytań i słuchania odpowiedzi specjalistów. Potwierdzenie własnej intuicji opasłym raportem z podpisami paru profesorów – to co innego.

Oportunizm i hipokryzja

Niestety, jest też druga strona medalu. Brak ugruntowanej tradycji intelektualnej niezależności i odwagi cywilnej plus lata już współczesnej tresury, wspartej mechanizmem finansowym, zrobiły także spore szkody w sposobie myślenia i funkcjonowania środowisk „eksperckich". Nie żyjemy w realiach np. anglosaskich, gdzie alternatywą dla funduszy rządowych, często znacznie bardziej atrakcyjną, są wielkie pieniądze dla uniwersytetów i licznych think tanków płynące ze źródeł prywatnych. Czasem za konkretne, użyteczne dla biznesu badania, lecz nierzadko także po prostu „na poszukiwanie prawdy".

Polski ekspert tymczasem staje często przed demoralizującym wyborem. Może mówić i pisać to, co wychodzi mu z badań i analiz, metodologicznie co prawda właściwych, ale niekiedy niepoprawnych politycznie i dla władzy niewygodnych. Ryzykuje wtedy konsekwencje, z których klepanie przynajmniej względnej biedy niekoniecznie jest jeszcze najgorsze. Może też ponaginać standardy, którym kiedyś ślubował wierność – i korzystać z łaski publicznego sponsora, czyli zdobywać punkty i pieniądze, udzielając oczekiwanych lub suflowanych odpowiedzi. Może też uczynić z tego całkiem niezły biznes albo przepustkę do kariery w roli etatowego doradcy, wyższego urzędnika lub polityka.

Patologiczne? Jak najbardziej. Powszechne? Nie w skali całego środowiska, bo nawet w najbardziej newralgicznych dyscyplinach, czyli w większości nauk społecznych, gros zainteresowanych zachowuje się przyzwoicie. Lecz jeśli odwrócimy optykę i spojrzymy z perspektywy partii rządzących do tej pory Polską, to okazuje się, że praktycznie wszyscy grzeszyli na potęgę. Daleko nie szukając, Prawu i Sprawiedliwości wystarczy przypomnieć masowe tworzenie dziwnych instytutów quasi-naukowych oraz ciał podobno eksperckich, które niewątpliwie służyły propagowaniu określonych idei i programów, ponadto promowaniu osób zatrudnianych i transferowi publicznych pieniędzy do prywatnych lub partyjnych kas, ale z rzetelną nauką nie miały nic wspólnego. Podobnie jak przemalowanie na biało-czerwono starego francuskiego jachtu nie wykazywało szczególnych związków z profesjonalną promocją kraju za granicą, a mimo to grube miliony przepuściła przy tej okazji za poprzedniej władzy Polska Fundacja Narodowa.

Dzisiaj można nazywać hipokryzją gwałtowne wzmożenie moralne wielu polityków opozycji, krytykujących nie-



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Polityka bardzo personalna

Daria Al **Shehabi**

Donald Tusk coraz chętniej inwestuje własny polityczny kapitał w konkretnych ludzi. Premier daje im kredyt zaufania, wolną rękę albo osobisty certyfikat fachowości. Ta metoda pozwala mu działać szybciej przy prezydencie blokującym część reform oraz w wielopartyjnej koalicji. Ale ma także swoją cenę: zaufanie zastępuje weryfikację i uzasadnia czynienie wyjątków od reguł.

Barbara Mróz-Gorgoń miała być jedną z tych osób, którym premier może po prostu powierzyć rozwiązanie problemu. Nazwał ją „najwybitniejszą w Polsce specjalistką od kształtowania marki" i powierzył jej zadanie, z którym inne instytucje państwa sobie nie poradziły: zebranie rozproszonych po resortach pieniędzy oraz działań promocyjnych w jeden system. Po 23 dniach Mróz-Gorgoń podała się do dymisji. Lawinę krytyki wywołał Sebastian Meitz, członek PiS i ekspert Instytutu Sobieskiego, który opublikował serię wpisów wyliczających błędy i niespójności w przygotowanym przez jej fundację raporcie „Polaków portret własny". Dokument zaczęły analizować media. Demagog, Konkret24 i inne redakcje wskazywały na dane bez źródeł, błędy w statystykach i cytowaniach oraz fragmenty sugerujące mocne użycie AI.

Można wzruszyć ramionami. Premier źle ocenił człowieka, każdemu się zdarza. Jeśli jednak wybrany człowiek staje się jednym z podstawowych narzędzi sprawczości szefa rządu, błąd w jego doborze przestaje być prywatnym problemem nominata. Mróz-Gorgoń nie ogłosiła sama siebie najwybitniejszą specjalistką. Ten certyfikat wystawił jej Tusk.

Taka polityka premiera nie bierze się znikąd. W pierwszym roku urzędowania Karol Nawrocki odmówił podpisania 41 ustaw. Koalicja nie ma większości, by sprzeciwy prezydenta odrzucać. Tusk nie może więc zakładać, że każdą zmianę przeprowadzi ustawą – nawet jeśli wcześniej uda mu się uzgodnić ją we własnym, wielopartyjnym rządzie. W takich warunkach łatwiej zmienić człowieka niż reguły.

Widać to także w ochronie zdrowia. Gdy w lipcu 2025 r. Jolanta Sobierańska-Grenda zastępowała Izabelę Leszczynę, Tusk przedstawiał tę nominację jak zmianę ustroju resortu. Nowa minister miała wcześniej mocną ręką wprowadzić porządek w pomorskich szpitalach, teraz Ministerstwo Zdrowia miało przejść w ręce fachowców.

Pod koniec października 2025 r. Sobierańska-Grenda przesłała MF propozycję obniżenia kosztów NFZ w 2026 r. o prawie 10,4 mld zł. Bez oszczędności luka w finansach funduszu była wówczas szacowana na 23,7 mld zł. Kiedy opozycja żądała dymisji minister, Tusk odpowiadał, że ma ona jego pełne zaufanie. Tutaj kończy się opowieść o fachowcu. Ograniczenie finansowania nadwykonań może mieć uzasadnienie w rachunku NFZ. Nie zmienia to tego, że za księgową korektą stoi bardzo polityczny wybór.

Jeszcze wyraźniej pokazała to afera w warszawskim Szpitalu Południowym. Dawid Kacprzyk, koordynator SOR i radny KO, wykazał za 2025 r. 1,6 mln zł dochodu z prac medycznych. Dokumenty opisywane przez media wskazywały na 331 godzin pracy miesięcznie. Kacprzyk stracił pracę i zrezygnował z mandatu radnego, w szpitalu ruszyły kontrole, sprawą zajęła się prokuratura, a na wniosek Rafała Trzaskowskiego odwołano cały zarząd placówki.

eprasa.pl 28ea867565

szczęsny raport za sto kilkadziesiąt tysięcy złotych, ale dziwić się im trudno. Przeciwnik sam włożył im do ręki ostry miecz, więc nim wymachują. Gorzej, że jakoś – z nielicznymi wyjątkami – nie skupiają się na fatalnych, ponadczasowych mechanizmach, ale na pojedynczym przypadku, który obciąża akurat politycznych rywali.

W mętnej wodzie...

Koalicja Obywatelska jest tu sama sobie winna, bo zapowiadała głębokie reformy, obejmujące m.in. likwidację odziedziczonych, patologicznych instytucji oraz ich staranne rozliczenie. Tymczasem efekty działań prokuratury i instytucji nadzoru finansowego są w tym zakresie wciąż mizerne, część wadliwych struktur po prostu przemalowano i obsadzono własnymi „krewnymi królika", a w dodatku stworzono trochę nowych i zaczęto szykować kolejne. Jak już przecież wiadomo, pseudonaukowe dzieła dr hab. Mróz-Gorgoń i kierowanego przez nią zespołu miały stanowić uzasadnienie dla właściwego skoku na kasę – w postaci wydania aż 670 mln zł na sformułowanie, realizację i bieżącą ewaluację wielkiej strategii promowania Polski w świecie. Cel bez wątpienia szczytny, ale już szczegóły ujawnionego budżetu co najmniej kontrowersyjne. Zwłaszcza odnośnie do powołania odrębnych, stałych ciał z biurami, personelem obsługującym i oczywiście seryjnie zamawianymi kolejnymi „ekspertyzami".

I być może tu jest sedno. Bo rozwiązywanie problemów coraz częściej i wyraźniej jest u nas zastępowane działaniami pozornymi. Powołaniem komisji, komitetów i pełnomocników „do spraw". Czyli mnożeniem struktur, biciem piany, dublowaniem lub rozmywaniem realnych kompetencji i w efekcie odpowiedzialności. Tak mamy choćby z zagrożeniem rosyjską dezinformacją: problem jak najbardziej realny, nawet jeden z kluczowych dla naszego bezpieczeństwa, ale zamiast odpowiednio zadaniować i rozliczać instytucje dysponujące narzędziami, z jednoczesnym zapewnieniem im stosownego finansowania oraz w razie potrzeby prawdziwego wsparcia merytorycznego, a także pracować nad wpięciem w system całkiem zacnej aktywności prywatnej i III sektora, szumnie powołano nową, specjalną komisję. Dezinformacja nadal ma się dobrze, a nawet jeszcze lepiej.

Z promocją „marki Polska" (pomijając już wątpliwą urodę tego sformułowania) rzecz ma się dość podobnie. To powinno być (i jest) w dużej mierze zadanie Ministerstwa Spraw Zagranicznych. W pewnym stopniu także resortów kultury, nauki i paru innych. Także samorządów, uczelni, kilku organizacji pozarządowych. Czy do programowania i koordynacji ich działań faktycznie niezbędny jest specjalny pełnomocnik premiera w randze ministerialnej i stojący za nim docelowo urząd? Bardzo wątpliwe.

Notabene, analogiczne kuriozum dotyczy stanowiska, o którym wcześniej poza specjalistami mało kto wiedział, a które zyskało sławę dzięki konceptowi przeniesienia Macieja Berka do Trybunału Konstytucyjnego. Jego dotychczasowa funkcja to „minister nadzoru nad wdrażaniem polityki rządu", umieszczony w kancelarii premiera. Za co w takim razie biorą pieniądze sam premier, liczni wicepremierzy, poszczególni branżowi ministrowie i ich zastępcy, a także wojewodowie?

> Rozwiązywanie problemów jest u nas zastępowane działaniami pozornymi: mnożeniem struktur, biciem piany, rozmywaniem kompetencji i odpowiedzialności

Koryto a sprawa polska

Mimo kolejnych wyborczych obietnic mamy coraz większy rząd. Pod względem łącznej liczby ministrów, wiceministrów i specjalnych pełnomocników do spraw – bijemy na głowę wszystkie państwa Unii Europejskiej. U nas to już 120 osób, podczas gdy drugie miejsce ex aequo zajmują Włochy i Bułgaria – z wynikiem 64. W Niemczech mamy 55 osób na takich stanowiskach, w tradycyjnie zbiurokratyzowanej Francji 35, a kilka krajów radzi sobie z ekipami poniżej 20 ludzi. Na szczeblu regionalnym też spore przerosty, generalnie także rosnące przy kolejnych zmianach ekip, bo wojewodowie i ich urzędy, choć formalnie mają się zajmować tylko wdrażaniem polityk centralnych i kontrolą nad legalizmem działań władz samorządowych, chętnie stawiają się w szerszej roli „gospodarzy regionów" i stosownie obrastają stanowiskami. Także doradców i pełnomocników do spraw, które mieszczą się zasadniczo w gestii marszałków.

I tu uwaga – to nie tylko kwestia kosztów, choć i te bolą, zważywszy na rosnący deficyt finansów publicznych. To także demoralizujące tworzenie bezsensownych synekur dla działaczy lub członków ich rodzin. Często nieprześwietlonych zawczasu wystarczająco, bo przecież decydenci nie chcą, by jakieś służby węszyły w życiorysach i dziwnych kontaktach ich totumfackich (w przypadku p. Mróz-Gorgoń ten błąd też da się dostrzec). A bodaj jeszcze gorsze są skutki związane z faktycznym rozmyciem kompetencji – i co za tym idzie, także odpowiedzialności. „To nie ja, to kolega" lub „potrzebujemy dodatkowych konsultacji" to częste i wygodne alibi dla lenistwa, niekompetencji albo wręcz świadomych zaniechań. „Niebawem stworzymy stanowisko lub nową jednostkę, i ona się tym zajmie" – podobnie. Płyną pieniądze, płynie czas... Byle do kolejnych wyborów.

A nowi kandydaci już czekają na swoją kolej. Dawno, dawno temu Janusz Korwin-Mikke mówił, że jego celem nie jest „zmiana ryjów przy korycie", lecz likwidacja koryta. Współcześni politycy ze wszystkich stron sceny, nawet ci podobno czujący z JKM ideową więź, są w tej kwestii znacznie mniej kategoryczni i dosadni. Za to bardziej pragmatyczni, bo chcą wygrywać wybory, a nie tylko mieć rację – i wiedzą, w jakiej walucie ich współpracownicy i sponsorzy chętnie przyjmą zapłatę za wcześniejsze trudy.

Realizm realizmem. Ale warto mieć bolesną świadomość związków przyczynowo-skutkowych, a więc także tego, że casus Barbary Mróz-Gorgoń i jej działań to nie jest wypadek przy pracy. Że system znowu zafunduje nam kolejne tego typu atrakcje, o ile nie zdołamy go porządnie zreformować. ©℗



FOT. WOJTEK GÓRSKI

Witold

Sokała

wykładowca Instytutu Stosunków Międzynarodowych Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach, przewodniczący Rady i analityk Fundacji Po.Int, publicysta DGP

Tusk zareagował w charakterystyczny dla siebie sposób: dał Sobierańskiej-Grendzie i prezesowi NFZ kilka dni na opracowanie rekomendacji naprawczych. W przeciwnym wypadku zapowiedział „decyzje personalne". Minister zdążyła. Przedstawiła pakiet bardzo twardych rozwiązań dotyczących lekarzy: maksymalną stawkę 240 zł brutto za godzinę na kontraktach, ograniczenie wielozatrudnienia, większą jawność umów, zmiany zasad wynagradzania i walkę z kominami płacowymi. W ciągu kilkunastu dni częścią propozycji zajął się rząd.

To dobrze pokazuje zarówno siłę, jak i słabość metody Tuska. Wyznacza człowieka i termin – i wymusza reakcję. Premier nie kazał pani minister w kilka dni wymyślić od zera reformy ochrony zdrowia – część przedstawionych rozwiązań była przygotowywana od miesięcy. Ultimatum było przede wszystkim politycznym katalizatorem: pozwoliło pokazać gotowe projekty i to, że władza dowozi.

I tu wraca odpowiedzialność Tuska. Skoro Sobierańska-Grenda ma jego „pełne zaufanie", to jej cięcia nie są już tylko eksperckimi rekomendacjami. Są polityką rządu Tuska.

Podobny mechanizm widać w wymiarze sprawiedliwości. Adam Bodnar przychodził do Ministerstwa Sprawiedliwości jako były RPO i symbol legalistycznego podejścia do odbudowy praworządności. Jego resort opracowywał ustawy, ale naprawa wymiaru sprawiedliwości raz po raz rozbijała się o prezydenta, TK, KRS i spór o status sędziów. Po rekonstrukcji rządu Bodnara zastąpił Waldemar Żurek. Cel się nie zmienił, zmienił się za to język premiera. Tusk mówił o potrzebie ludzi działających stanowczo oraz zapowiadał koniec świętych krów i szybsze rozliczenia. Skoro nie da się szybko zmienić ustaw, trzeba znaleźć człowieka, który zrobi więcej w ramach tych, które obowiązują. Państwo ma zacząć działać inaczej nie dlatego, że zmieniły się reguły, lecz dlatego, że na czele resortu stanął ktoś o innym temperamencie. Bodnar miał gwarantować legalizm. Żurek ma gwarantować determinację.

Jeszcze ciekawszy jest przypadek Macieja Berka. Tutaj trudno premierowi zarzucić, że nie sprawdził kompetencji nominata. Tusk zna go od lat, nazywa państwowcem, podkreśla jego prawniczy warsztat i mówi, że nie zna nikogo lepiej przygotowanego do naprawienia sytuacji w Trybunale Konstytucyjnym.

W 2024 r. obecna większość uchwaliła ustawę o TK, zgodnie z którą kandydat przez cztery lata przed wyborem na sędziego nie mógł być m.in. posłem, senatorem, członkiem partii ani członkiem Rady Ministrów. Prezydent Andrzej Duda skierował ją do kontroli prewencyjnej, a w lipcu 2025 r. obecny TK uznał całą ustawę za niezgodną z konstytucją. Czteroletnia karencja nie obowiązuje i Berek może kandydować. Nie chodzi wyłącznie o przepis. Chodzi o standard: człowiek nie powinien jednego dnia być w centrum władzy wykonawczej, a chwilę później przechodzić do organu, który ma tę władzę kontrolować.

Teraz odpowiedź Tuska na krytykę sprowadza się do tego, że Berek jest wyjątkowy. Być może ma rację i Berek będzie świetnym sędzią. Ale tak tworzy się precedens. A reguły ustrojowe nie są pisane dla ludzi, którym ufamy. Ich sens ujawnia się wtedy, gdy bardzo ufamy naszemu człowiekowi, ale wiemy, że następny premier równie mocno będzie ufał swojemu. Jeżeli standard obowiązuje tylko wobec ludzi, których sami uważamy za świetnych, to nie jest standard. To opinia.

Problemem nie jest więc to, że Tusk ufa ludziom – musi komuś ufać. Ale państwo nie może wymagać, żebyśmy wszyscy ufali tym samym ludziom co premier. Ta metoda daje Tuskowi coś dziś bardzo cennego: możliwość pokazania sprawczości. Jest szybka, widowiskowa i bardzo zgodna z jego sposobem uprawiania polityki. Jest problem – znajdźmy człowieka. Człowiek nie dowozi – znajdźmy następnego. Człowiek dowozi – dajmy mu więcej swobody.

Państwo nie powinno jednak działać dobrze tylko wtedy, kiedy premier ma dobre oko do ludzi. Największym testem polityki personalnej Tuska nie będzie więc to, czy znajdzie jeszcze kilku ludzi, którym może zaufać. Będzie nim to, czy zostawi po sobie instytucje, które będą działały również wtedy, gdy następny premier zaufa komuś innemu. ©℗

eprasa.pl 28ea867565

Nie jesteśmy niczyimi pieszczochami

Nie toczymy z PiS żadnej wojny. Wypchnięto nas – OK, było, minęło. Ale Mariusz Błaszczak musi zrozumieć, że skończyły się czasy, w których mógł dyktować nam, co mamy robić

Z Łukaszem

Schreiberem

rozmawia Marcin Fijołek, Polsat

Czego, na rok przed wyborami, mogą nas nauczyć kobiety starożytnego Rzymu?

Rozszerzmy to pytanie: czego w ogóle może nauczyć nas dziś okres rzymskiej republiki? Zachowując proporcje i mając świadomość różnic, system polityczny antycznego Rzymu był zbliżony do obecnego. Walka o wpływy, urzędy, nominacje, prowincje... Polityka nad Wisłą aż tak bardzo się od tego nie różni. Także dzisiaj, podobnie jak w antycznym Rzymie, dość szybko można przegrać wybory przez pogardę do obywateli. Znany jest przypadek pewnego popularnego senatora, który, walcząc o konsulat, ściskał dłonie kolejnych ludzi. Pewien rolnik z mocno pomarszczoną dłonią na tyle zwrócił uwagę senatora, że ten spytał go, czy chodzi z rękami po ziemi. Ta uwaga kosztowała polityka wybory.

Czytam pana nową książkę i zastanawiam się, dlaczego wziął pan pod lupę akurat kobiety starożytnego Rzymu. Przecież to mężczyźni mieli tam pełnię praw.

Wpada pan w pułapkę przeświadczenia, że kobiety tamtych czasów, jeśli w ogóle były obecne w życiu publicznym, to angażowały się jedynie zakulisowo. To nieprawda. Opisuję w książce jeden z momentów republikańskiego Rzymu (a znane są dwa), w których kobiety wyszły na ulice w walce o zniesienie zakazu noszenia kolorowych szat i złota. Jest 195 r. przed Chrystusem, tłumy kobiet zaczepiają senatorów i urzędników, sytuację musi uspokajać konsul, awantura zatacza kolejne kręgi, angażują się różne grupy społeczne. Drugi moment: 43 r. przed Chrystusem, kobiety protestują przeciw dekretowi triumwirów, którzy wymyślili, że podreperują budżet, nakładając na nie podatki. Efekt polityczny tych dwóch zrywów był duży i konkretny.

Skąd my to znamy... Za rządów Prawa i Sprawiedliwości opieraliście się wielu aferom i problemom, ale po protestach kobiet poparcie spadło poniżej 40 proc. i nigdy nie powróciło do dawnego poziomu.

Takie analogie same się nasuwają, prawda? Ma pan rację – protesty po wyroku Trybunału Konstytucyjnego były kluczowe dla układu sił. W starożytnym Rzymie przekonał się o tym Katon, którego pierwsza próba ubiegania się o stanowisko cenzora zakończyła się porażką.

Trzeba było napisać tę książkę wcześniej, może ktoś przy Nowogrodzkiej zawczasu wyciągnąłby wnioski.

Coś w tym jest. (śmiech) Choć będąc uczciwym, warto pamiętać, że to koniec końców nie była decyzja polityków, lecz Trybunału Konstytucyjnego.

Zielone światło dla wniosku do TK samo się nie zapaliło.

Oczywiście. Ja nie podpisałem się pod tym wnioskiem i nie był to przypadek. Ale wielu kolegów to zrobiło i efekt był, jaki był. Po tych kilku latach warto zastanowić się na spokojnie, czy podważenie kompromisu aborcyjnego wpłynęło na skuteczniejszą ochronę życia poczętego. Mam wątpliwości. Przesłanka dotycząca zdrowia psychicznego jest dziś szeroko otwarta, promocja aborcji przez różnego rodzaju stowarzyszenia i nieformalne grupy trwa w najlepsze, a pod Sejmem wyrosło centrum proaborcyjne. Świętej pamięci Lech Kaczyński, który tak jak ja był przeciwnikiem aborcji, wiedział, czym się skończy podważenie kompromisu. Niestety, po tamtym tąpnięciu zbieramy się na prawicy do dziś. Jeśli komuś się wydaje, że na ulicach protestowały wtedy same lewaczki i feministki, to nie wie, o czym mówi. Sam znam wiele kobiet, które były oburzone i przestraszone, a które nas wspierały, a nawet startowały z naszych list – i to nie tylko w wielkich miastach, lecz także w małych miejscowościach. Więc gdy pyta pan o lekcję z historii protestów kobiet w starożytnym Rzymie, to odpowiedź nasuwa się sama. Ale to nie tylko kwestia protestów.

Coś jeszcze?

Rzym był imperium rodzin. Gdy sobie prześwietlimy wyzwania i problemy stojące przed republiką, możemy się zdziwić, jak niewiele się zmieniło. Weźmy kwestie demografii i radykalnego obniżenia wskaźników dzietności; nawiasem mówiąc, nie znoszę tego określenia, brzmi potwornie. Problem był również wtedy. Polibiusz z Megalopolis, który opisywał dzieje starożytnego Rzymu, na marginesie swoich rozważań stwierdził, że Hellada upadła przez brak dzieci, a Rzym zaczyna mierzyć się z tym samym kłopotem. Jest 130 r. przed Chrystusem, a jeden z cenzorów rzymskich wzywa do polityki pronatalistycznej. Nie wiemy dokładnie, jakie propozycje położył na stole, ale skoro cesarz August odwoływał się do jego mowy ponad 100 lat później, to musiał wziąć jego pomysły na warsztat.

Jeszcze trochę, a będzie mnie pan przekonywał, że raport Rozwój Plus o demografii powstał 2 tys. lat temu.

Bez przesady. (śmiech) Ale fakt faktem, że jako pierwsi politycy podeszliśmy do zjawiska systemowo. Co prawda na razie przebił się pomysł pensji rodzicielskiej, ale proponujemy też kolejne ulgi podatkowe dla osób, które zdecydują się na dziecko do 26. r. życia, dodatkowe gwarancje bezpieczeństwa i opłaconych składek. Musimy mieć świadomość, że grozi nam katastrofa demograficzna i jeżeli jako państwo nie podejmiemy wysiłku, by to zmienić, w kolejnym pokoleniu problem będzie gigantyczny.

Mieliśmy 500+, 800+, programy żłobkowe, świadczenie Aktywni rodzice w pracy, darmowe wyprawki szkolne, tanie kredyty mieszkaniowe dla małżeństw z dziećmi – i nic. Może dziś jest po prostu inna mentalność, której nie zmieni się nawet najbardziej atrakcyjną zachętą finansową.

Nie zgadzam się, że te programy nie przyniosły efektu. W pierwszych latach liczba urodzonych dzieci wzrosła. Dopiero później zaczęła spadać – pandemia, kryzys, wspomniane protesty. Ponadto pokolenie wyżu demograficznego lat 80. już założyło rodziny, a za prokreację co do zasady odpowiadają teraz młodsi, urodzeni w niżu. Zgadzam się, że decyzje o dziecku nie są proste i uzależnione od jednego przelewu. Zmiany kulturowe i społeczne mają na nie wielki wpływ, ale gdy na spokojnie wgryziemy się w dane statystyczne, to nie ma przypadku w tym, że dzieci najczęściej rodzą się wśród najzamożniejszych. Nie możemy zupełnie odrzucać aspektu ekonomicznego. Staraliśmy się ten trend odwrócić, wszystkie pomysły od 2015 r. temu służyły, ale na pewno trzeba też podjąć walkę na boisku kultury i promocji rodzicielstwa. Zaszczepione przekonanie, że wielodzietna rodzina równa się patologia, jest dość głęboko zakorzenione. Nie możemy jako państwo ogłosić kapitulacji.



FOT. WOJTEK GÓRSKI

Łukasz Schreiber – poseł, wiceprzewodniczący klubu parlamentarnego Rozwój Plus. W latach 2019–2023 minister członek Rady Ministrów w drugim rządzie Mateusza Morawieckiego

Wszystkie te akcje kończą się niepowodzeniem – tak jak ostatnio promocja Polski pani minister Mróz-Gorgoń. Kuriozalny raport, okraszony korporacyjną nowomową, bełkot i pieniądze dla swoich. Jeśli przyjdzie wasza kolej, to zaprzyjaźniony reżyser zrobi serial o tym, że rodzina jest super, a kasę przytuli paru znajomych królika.

Nie wszystkie akcje muszą kończyć się w stylu pani Mróz-Gorgoń. Powiem szczerze, od dawna nie pamiętam takiej spektakularnej klapy, choć ekipa Donalda Tuska nisko stawia poprzeczkę. Na pewno to wielkie wyzwanie, by w promocji rodzicielstwa nie wpaść w śmieszność i paździerz. Nikt nie mówi, że to proste zadanie, ale jest do wykonania z pomocą ekspertów.

Ale tak się dzieje. Pamięta pan, jak prof. Andrzej Zybertowicz rzucił pomysł maszyny bezpieczeństwa narracyjnego, czyli MaBeNy? Skończyło się jachtem kupionym przez PFN, nikt nie wie po co.

Będę się jednak upierał, że mądra promocja jest potrzebna. Czytałem kiedyś badania, które przedstawili ludzie od Coca-Coli. Uznali oni, że nawet w przypadku tego napoju brak promocji i inwestycji wiązałby się w dłuższej perspektywie ze spadkiem popularności i sprzedaży. Ma pan rację, że interesiki i geszefciki kompromitują słuszną ideę, ale nie wylewajmy dziecka z kąpielą. Promocja polskiej kultury, tradycji, historii czy po prostu Polski nie musi być z definicji czymś, na czym tylko łatwo zarabia się pieniądze.

eprasa.pl 28ea867565

Dlaczego, cytuję, chce pan wraz z kolegami zrobić „prezent koalicji 13 grudnia”?

Pije pan do wpisu Mariusza Błaszczaka? Proszę... To jest próba narzucenia kłamliwej opowieści, która nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. To Mateusz Morawiecki opisał system tuskizmu jako ten, który trzeba natychmiast odinstalować z polskiej rzeczywistości, na czele z jego głównym wykonawcą, Donaldem Tuskiem. My naszych konserwatywnych, republikańskich i wolnościowych wartości nie porzucamy.

To po co wam ta wojna z PiS o stanowisko wicemarszałka Sejmu?

Nie toczymy z PiS żadnej wojny, gdzie indziej widzimy przeciwników. Wypchnięto nas z PiS – OK, było, minęło. Ale Mariusz Błaszczak musi zrozumieć, że skończyły się czasy, w których mógł dyktować nam, co mamy robić. Nie powinien nas szantażować, że jeśli nie zrobimy tak, jak on to sobie wymyślił, to znaczy, że gramy w jednej orkiestrze z Tuskiem. Przecież to absurd, który blokowałby nam jakiekolwiek ruchy. Co do wicemarszałka – prawdopodobnie zgłosimy kandydata, chociaż ostateczną decyzję podejmie klub. Chcemy też, by poszerzono prezydium Sejmu o dwie osoby, aby każdy klub mógł mieć wicemarszałka. Nikomu korona z głowy nie spadnie.

Wszyscy wiemy, że nie chodzi o takie czy inne stanowisko. PiS musi was zepchnąć na margines, najlepiej do bańki zdrajców pracujących na rzecz Tuska, bo przejmujecie kolejnych posłów, senatorów, samorządowców z Prawa i Sprawiedliwości.

Akurat jeśli chodzi o samorządowców, to najwięcej zgłasza się do nas tych, którzy byli i są bezpartyjni, to głównie ludzie wybierani z lokalnych komitetów. Przez wiele lat mieli okazję współpracować z PiS. Do PiS nie chcieli się zapisać, a do Rozwój Plus już tak. Tych transferów będzie dużo więcej, zwłaszcza jeśli chodzi o samorządowców, tej fali się nie zatrzyma. Myślę, że ostatecznie będziemy trzecią siłą, jeśli chodzi o wójtów, burmistrzów i prezydentów miast.

A jak się będzie nazywać wasza partia? Rozwój Plus?

Niekoniecznie. Nie zdradzę tego dziś, musimy mieć margines niespodzianek, które zaserwujemy 15 października. Uczciwie przepracowaliśmy sierpień, gdy wielu polityków innych partii bawiło się na wakacjach. Powoli zaczynamy zbierać owoce. Wiem, że nie mamy swoich mediów, nie jesteśmy niczyimi pieszczochami, a jako zagrożenie traktuje nas dzisiaj zarówno Koalicja Obywatelska, jak i Konfederacja oraz PiS. Nie zrażamy się tym – tworzymy ofertę dla milczącej większości, która chce czegoś innego niż kolejnej odsłony młócki między partiami. Wiem, że musi minąć trochę czasu, żeby wyborcy mogli uwierzyć, że mamy taką ofertę i że z powodu wakacji może nie wszyscy jeszcze nawet wiedzą o naszym istnieniu (moment wyrzucenia nas z PiS w środku wakacji wybrano zresztą nieprzypadkowo), ale damy sobie radę. Zobaczy pan już jesienią.

Pan zdradził, a pana ojciec został w PiS. Podobno przy kolacji nie było zbyt miło po tym, jak ruszyliście z projektem Rozwój Plus.

Po pierwsze – nie zdradził, a po drugie – nie wiem, kto to panu opowiada, na pewno nikt, kto siedział z nami przy tej kolacji. Mamy normalny kontakt, rozmawiamy, ale obaj jesteśmy dorośli i każdy decyzje podejmuje sam. To jasne, że ojciec ma inne spojrzenie na niektóre sprawy, lecz pewne rzeczy dzieją się w dynamice, której nie da się zatrzymać. Nie mieliśmy planu tworzenia nowej formacji. Musimy jednak działać, a nie płakać nad rozlanym mlekiem.

Chcemy budować suwerenną ofertę bez oglądania się na innych i bez taniego populizmu. Po pierwsze, uważamy, że Polakom należy się poważne traktowanie – zarówno na poziomie obietnic wyborczych, jak i ich realizacji. Po drugie, tak się składa, że w otoczeniu premiera Morawieckiego pozostała grupa ludzi, która ma doświadczenie rządowe i potrafi skutecznie wdrażać wielkie programy, m.in. inwestycyjne i z zakresu cyfryzacji. Potrafimy nie tylko diagnozować najważniejsze wyzwania stojące przed Polską, lecz także pokazywać rozwiązania. Przygotowaliśmy – i to bez wielkich rządowych funduszy – raporty o ochronie zdrowia, migracji i demografii. Budujemy Obóz Wielkiej Polski, do którego zapraszamy wszystkich patriotów przekonanych, podobnie jak my, że nasz kraj stoi przed wielkim wyzwaniem dziejowym. Odrzucając na bok różnice w sprawach drugorzędnych, chcemy zbudować Polskę naszych marzeń dla przyszłego pokolenia. Serio uważam, że milcząca większość w naszym kraju może dużo więcej, niż to się wydaje na pierwszy rzut oka. ©℗

TEKST PROMOCYJNY

PANORAMA GOSPODARCZA

Jak polski system operacyjny Base.com zmienia globalny e-commerce

Base.com w ciągu dwóch dekad przeszło drogę od narzędzia wspierającego sprzedaż na marketplace’ach do systemu operacyjnego dla e-commerce. Dziś obsługuje cały proces sprzedaży – od przyjęcia towaru na magazyn po wysyłkę zamówień i obsługę zwrotów. Ponad 2200 integracji pozwala zarządzać e-commerce z jednego miejsca i poszerzać sprzedaż o nowe kanały i rynki. O wykorzystaniu AI w automatyzacji i skalowaniu sprzedaży opowiada Adrian Jaworek, AI Project Manager w Base.com.



Od prostej obsługi sprzedaży do pełnego ekosystemu

Historia Base.com rozpoczęła się od BaseLinkera, który ułatwiał zarządzanie sprzedażą na marketplace’ach. Wraz z rozwojem e-commerce rosły potrzeby przedsiębiorców, dlatego do kolejnych kanałów sprzedaży dochodziły rozwiązania do zarządzania zamówieniami, produktami, obsługi magazynu czy integracje z nowymi platformami. W efekcie powstał ekosystem, który nie tylko łączy się z narzędziami używanymi już przez firmy, ale ujednolica rozproszone systemy, automatyzuje procesy i pozwala rozwijać sprzedaż. „To nie jest historia jednego przełomu. To opowieść o 20 latach konsekwentnego budowania systemu operacyjnego dla e-commerce” – podkreśla Adrian Jaworek. Dziś Base.com wykorzystuje AI w funkcjach dla klientów m.in. do wystawiania ofert na marketplace’ach, analizy sprzedaży czy podpowiadania, które produkty warto łączyć w zestawy promocyjne.

Technologia, która wspiera rozwój biznesu

Sztuczna inteligencja stoi także za ekspansją zagraniczną. Widać to na przykładzie Super Merchanta – spółki z grupy Base.com, która pomogła już ponad 1500 firmom rozwinąć sprzedaż za granicą. Korzysta ona m.in. z AutoSell, jednej z funkcji AI systemu Base.com. Jak wskazuje Adrian Jaworek, przygotowanie 2000 opisów produktów wraz z wymaganymi parametrami dla szwedzkiego marketplace’u można dzięki niemu skrócić do kilkudziesięciu minut. To oszczędność czasu i szybsze testowanie nowych rynków. AI odciąża też zespoły w codziennej pracy. Asystent pomaga analizować błędy i przyczyny blokowania ofert, z kolei agenci AI ułatwiają wyszukiwanie informacji oraz sprawną obsługę procedur. „Nie chodzi o to, żeby zdjąć ze sprzedawców ciężar myślenia o swoim biznesie. Chodzi o to, żeby ich w tym wesprzeć” – zaznacza Adrian Jaworek. Base.com buduje lokalne zespoły m.in. we Włoszech, Francji, Brazylii i Stanach Zjednoczonych, łącząc globalną technologię ze znajomością lokalnych rynków. Potrzeby klientów z różnych części świata wracają do systemu w postaci nowych funkcji, dzięki którym sprzedawcy zwiększają skalę bez rozbudowywania zaplecza operacyjnego.

Aneta Żych

https://panorama-gospodarcza.gazetaprawna.pl/

eprasa.pl 28ea867565



FOT. WOJTEK GÓRSKI

Podatkowa licytacja

Piotr **Wójcik**

Do wyborów parlamentarnych został już tylko nieco ponad rok, więc powoli zaczyna się wyścig na obietnice i próby ugłaskania wyborców. Prawica wytyka KO niespełnioną zapowiedź podniesienia kwoty wolnej do 60 tys. zł. Konfederacja nie uniknęła przy tym kompromitacji – autorzy złożonego w listopadzie 2023 r. projektu pomylili kwotę wolną z kwotą zmniejszającą podatek, w wyniku czego ta pierwsza wynosiłaby aż pół miliona złotych. Z kolei słaniająca się na nogach Polska 2050 postanowiła powalczyć o klasę średnią i zażądała podniesienia drugiego PIT do 140 tys. zł. Oficjalny kandydat PiS na premiera Przemysław Czarnek dorzucił swój postulat: obniżenie VAT na paliwa.

Pod presją ze strony opozycji i wewnętrznych krytyków rząd w końcu zaprezentował projekt zmian fiskalnych na 2027 r. Błyskawicznie pojawiły się dwa konkurencyjne projekty Rozwoju Plus Mateusza Morawieckiego i PiS. Propozycja Ministerstwa Finansów jest wśród nich zdecydowanie najsensowniejsza.

Drugi próg PIT na poziomie 120 tys. zł obowiązuje od 2022 r., kiedy weszły w życie przepisy dotyczące Polskiego Ładu. Od tamtej pory średnie wynagrodzenie za pracę wzrosło o ok. 3 tys. zł brutto, więc siłą rzeczy stawkę 32 proc. płaciła coraz większa część osób. W 2022 r. próg 120 tys. zł przekroczyło 3 proc. podatników PIT rozliczających się według skali. W 2024 r. było to już prawie 8 proc. Nominalnie mowa o wzroście z ok. 700 tys. do ponad 1,9 mln osób. Przez ostatnie półtora roku pensje również szły w górę, więc można przypuszczać, że odsetek podatników na skali płacących drugą stawkę będzie już dwucyfrowy. Według danych GUS w lutym 2026 r. najlepiej zarabiające 10 proc. etatowców otrzymywało wynagrodzenie brutto w wysokości co najmniej 17 tys. zł miesięcznie, a powyżej 12 tys. zarabiało przeszło 20 proc. pracowników. Oczywiście „wynagrodzenie brutto" w rozumieniu GUS to nie jest dochód, lecz przychód, od którego odlicza się jeszcze koszty i składki. Można jednak założyć, że na drugą stawkę załapie się w tym roku także niemała część przedostatniego decyla.

Na podstawie tych wyliczeń można by wyciągnąć wniosek, że podniesienie progu jest uzasadnionym rozwiązaniem. Utrzymywanie progu na stałym poziomie przez pięć lat oznaczało realny wzrost opodatkowania. Trzeba przy tym pamiętać, że w 2022 r. podwyższono nie tylko górną granicę pierwszej stawki z 85 do 120 tys. zł rocznie, lecz także kwotę wolną od podatku z 8,5 tys. zł do aż 30 tys. zł. Po fatalnych reakcjach na Polski Ład, a w szczególności niejasną „ulgę dla klasy średniej", rząd Morawieckiego doprowadził do obniżenia pierwszej stawki PIT z 17 do 12 proc. Pomimo likwidacji odliczania składki zdrowotnej od podatku większość podatników PIT odczuła zmniejszenie obciążeń. Obecnie podatki dochodowe dla zamożnych pracowników w Polsce są dosyć niskie. Według raportu OECD „Taxing Wages 2026" w 2025 r. efektywny poziom opodatkowania wynagrodzenia równego 167 proc. polskiej średniej krajowej wyniósł 11,4 proc., tymczasem w Unii Europejskiej było to przeciętnie 23,3 proc. Także po uwzględnieniu składek opodatkowanie wysokich pensji nad Wisłą odbiega od poziomu UE – to odpowiednio 39 proc. i 46 proc. Jeśli jakaś grupa zasługuje na ulgę, to raczej osoby najmniej zarabiające, bo polski system jest niewystarczająco progresywny. Różnica między obciążeniem pensji w wysokości 167 proc. a 67 proc. średniej krajowej wynosi u nas 6 pkt proc., w Unii – 9 pkt proc.

Mimo to rząd zamierza zmniejszyć opodatkowanie zamożnych Polek i Polaków, choć w sposób bardziej zniuansowany, niż postuluje Polska 2050. Górna granica pierwszej stawki PIT ma zostać podniesiona do 130 tys. zł. Od tego poziomu będzie obowiązywać nowa, środkowa stawka równa 24 proc., której maksymalna granica wyniesie 150 tys. zł. Dochody powyżej tego poziomu mają zostać objęte 32-proc. PIT. Najwięcej zyskają podatnicy rozliczający się według skali, osiągający dochody powyżej 13 tys. zł – w ich portfelach zostanie nawet 3,6 tys. zł więcej. Szacuje się, że zmiany będą kosztować państwo 10 mld zł.

Przemysław Czarnek skrytykował projekt rządu, twierdząc, że będzie to „nieprawdopodobne skomplikowanie systemu podatkowego". To zwykła demagogia – dodatkowa stawka wiąże się jedynie z korektą parametrów w systemie. Zamiast środkowego progu Czarnek chce podniesienia drugiego progu PIT do 180 tys. zł. Jeszcze dalej poszedł Mateusz Morawiecki, który zaproponował podwyższenie go do 200 tys. zł. Według wyliczeń przedstawionych przez Rozwój Plus najbardziej zyskałyby na tym osoby zarabiające ponad 19,5 tys. zł – rocznie nawet 16 tys. zł. Ci zarabiający poniżej 12 tys. zł nie odnieśliby żadnych korzyści.

W przeciwieństwie do pomysłów opozycji projekt rządu ma jedną wielką zaletę: wskazuje źródło sfinansowania zmian. Reforma nie obejmie najbogatszych, którzy płacą 19-proc. podatek liniowy lub rozliczają się ryczałtem. Ta pierwsza grupa stanowi ok. 16 proc. osób prowadzących działalność gospodarczą (560 tys.). Ich przeciętny dochód wynosi blisko 300 tys. zł rocznie, czyli 25 tys. miesięcznie. Łączny dochód liniowców sięgnął w 2024 r. 163 mld zł. Forma opodatkowania nie jest ich jedynym przywilejem – płacą też preferencyjną składkę zdrowotną w wysokości 4,9 proc. Wprawdzie nie mogą korzystać z kwoty wolnej i różnych ulg (np. możliwości wspólnego rozliczania z małżonkiem), lecz nadal pozostają uprzywilejowani.

Nieco po kieszeniach dostaną tylko najzamożniejsi z najzamożniejszych, czyli osoby o dochodach przekraczających 1 mln zł (obejmuje to m.in. dywidendy i zyskowną odsprzedaż papierów wartościowych). Będzie to efekt podniesienia daniny solidarnościowej o 1 pkt proc. (obecnie wynosi ona 4 proc. od nadwyżki powyżej 1 mln zł).

Obok liniowców do polskiej elity finansowej należą podatnicy rozliczający się ryczałtem od przychodów ewidencjonowanych. Jest to forma korzystna dla przedsiębiorców ponoszących niskie koszty. Mowa przede wszystkim o lekarzach, informatykach, architektach i osobach zajmujących się obrotem nieruchomościami. W 2024 r. było 2,1 mln takich podatników, przy czym nieco ponad połowę stanowiły osoby rozliczające ryczałtem wyłącznie przychody z tytułu najmu prywatnego (stawka 8,5 proc.). Zdecydowana większość płaci stawki w granicach 3–15 proc. obrotu (2 i 17 proc. płaci niespełna 10 tys. ludzi). Im wyższe przychody i niższe koszty, tym bardziej opłacalny staje się ryczałt, zwłaszcza że obowiązuje tu kwotowa składka zdrowotna wynosząca od 500 do 1,5 tys. zł miesięcznie.

Rząd planuje znacząco ograniczyć możliwość korzystania z tej formy opodatkowania. Po zmianach będą mogli ją wybrać przedsiębiorcy, których obroty nie przekraczają 250 tys. euro. Aktualnie granica ta wynosi 2 mln euro. Na podstawie danych z 2024 r. można szacować, że ok. 43 tys. jednoosobowych firm straci możliwość rozliczania się ryczałtem. Będzie to oznaczać, że zapłacą one nie tylko wyższy podatek (19 proc.), lecz także składkę zdrowotną proporcjonalną do dochodu (4,9 proc.). To istotna grupa – w 2024 r. jej łączne przychody przekroczyły 100 mld zł.

Duże zmiany mogą odczuć spółki prawa handlowego. Wpływy z CIT od lat mają w Polsce znacznie mniejsze znaczenie dla budżetu niż w innych państwach Zachodu. Jak wynika z raportu OECD „Corporate Tax Statistics 2026", w 2023 r. stanowiły one ponad 2,5 proc. PKB, tymczasem średnia dla krajów rozwiniętych wynosi 4 proc. Podstawowa stawka podatku korporacyjnego jest u nas równa 19 proc., przy czym podmioty o obrotach niższych niż 2 mln euro płacą jedynie 9 proc. Poza tym system oferuje spółkom wiele ulg, m.in. 5-proc. stawkę dla dochodów z własności intelektualnej, zwolnienia z podatku w zamian za inwestycje tworzące miejsca pracy oraz polską odmianę estońskiego CIT, umożliwiającego odprowadzenie danin dopiero w momencie wypłaty dywidendy. W rezultacie efektywna stawka CIT w Polsce wynosi 15 proc. Pomijając raje podatkowe, takie jak Cypr czy Irlandia, niższa stawka obowiązuje tylko w Bułgarii, Rumunii, na Węgrzech i Litwie (10–14 proc.).

Ministerstwo Finansów proponuje podwyższenie CIT do 22 proc. dla podmiotów osiągających przychody powyżej 50 mln euro, czyli ok. 215 mln zł. Takie rozwiązanie ma jednak liczne wady. Po pierwsze, będzie ono faworyzować firmy osiągające wysokie zyski przy niskich kosztach. Chodzi tu w szczególności o usługi, m.in. finansowe. Po drugie, proponowane przez rząd zróżnicowanie stawek CIT nie będzie funkcjonować jak progresja w PIT. Spółki zapłacą 22 proc. od całego dochodu, jeśli przekroczą określony próg przychodów. To może wręcz je zachęcać do ograniczania działalności pod koniec okresu rozliczeniowego, by nie przekroczyć limitu i nie wejść do grona większych podatników.

Mechanizm ten ma pewne uzasadnienie. Chodzi o pozyskanie wpływów od międzynarodowych korporacji, które za pomocą transferów między siostrzanymi spółkami przenoszą znaczną część zysków do państw oferujących korzystniejsze opodatkowanie. Chociaż w latach 2022–2024 liczba podatników CIT wykazujących zysk wzrosła z 250 tys. do 283 tys., podatek należny spadł z 87 mld do 83 mld zł. Fiskus powinien walczyć z wyprowadzaniem zysków poprzez kontrole cen transferowych. Wrzucanie do jednego worka wszystkich spółek z wysokimi przychodami może skłonić przedsiębiorstwa, które do tej pory rozliczały się rzetelnie, do optymalizacji.

Budżet ma zyskać na zmianach niecałe pół miliarda złotych. Choć to jedynie kropla w morzu potrzeb, ministerstwu udało się znaleźć sposób na spełnienie oczekiwań części klasy średniej bez uszczerbku dla finansów publicznych. System stanie się przy tym nieco bardziej progresywny. Skala podatkowa PIT będzie obejmować stawki 12 proc., 24 proc. i 32 proc., a najlepiej zarabiający przedsiębiorcy będą płacić 19 i 24 proc. (powyżej miliona złotych 19 proc. + 5 proc. daniny solidarnościowej). Ci ostatni wciąż będą uprzywilejowani w zakresie składki zdrowotnej, która w ich przypadku jest niemal dwukrotnie niższa niż u etatowców (4,9 proc. wobec 9 proc.). Co więcej, dzięki ograniczeniu możliwości korzystania z ryczałtu dodatkowe 2,2 mld zł trafi do Narodowego Funduszu Zdrowia.

Gdy prawica zwraca się ku liberalizmowi gospodarczemu, czego dowodem są propozycje Rozwoju Plus i PiS, Koalicja Obywatelska ostrożnie skręca w stronę większej sprawiedliwości podatkowej. Rządowy projekt jest dużo mniej populistyczny i bardziej odpowiedzialny fiskalnie niż pomysły opozycji. Niestety, to prawdopodobnie nie wystarczy, by przekonać prezydenta. Z Pałacu Prezydenckiego płyną już sygnały, że projekt zostanie zawetowany. W czasie kampanii Karol Nawrocki obiecał bowiem, że nie zgodzi się na żadne podwyżki podatków. Prezydent zdaje się kierować krótkowzroczną zasadą: „im gorzej (dla rządu), tym lepiej". Najwyraźniej zapomniał, że reprezentuje wszystkich Polaków, a nie tylko własne środowisko polityczne. ©℗

eprasa.pl 28ea867565

PREZENTACJA

Prawdziwa suwerenność technologiczna to inteligentna niezależność

Cyberprzestrzeń stała się piątym polem walki, a odporność państwa zależy dziś od bezpieczeństwa jego cyfrowej infrastruktury. Współczesne konflikty nie zaczynają się od uderzeń konwencjonalnych, lecz od agresji na infrastrukturę informatyczną, elektrownie, centra danych i systemy bankowe. – Nasza odporność musi się opierać na własnych kompetencjach, pełnej kontroli nad danymi oraz bezpiecznej i niezawodnej łączności – mówi Jacek Terpiłowski, p.o. prezes zarządu spółki Exatel.

Dawniej, gdy mówiliśmy o obronności, myśleliśmy o armii i uzbrojeniu. Dziś słyszymy, że współczesne pole walki zdominowały technologie, telekomunikacja i centra danych. Czy to trwała zmiana postrzegania bezpieczeństwa państwa, w której operatorzy tacy jak Exatel odgrywają kluczową rolę?

To nie jest proces, w który wchodzimy. My w tej nowej rzeczywistości już funkcjonujemy. Tradycyjne myślenie o wojnie wyłącznie w kategoriach starcia konwencjonalnego jest dziś anachronizmem. Cyberprzestrzeń stała się polem walki obok lądu, morza, powietrza i kosmosu. Każdy współczesny konflikt rozpoczyna się właśnie w sieci, od wojny informatycznej oraz operacji dezinformacyjnych. Celem pierwszych uderzeń agresora nie są pozycje czysto militarne, lecz infrastruktura cywilna: elektrownie, centra danych czy systemy bankowe. Chodzi o wywołanie chaosu, zamieszania w strukturach państwa oraz paniki w społeczeństwie. Zapewnienie ciągłości działania tych newralgicznych elementów staje się więc fundamentem bezpieczeństwa narodowego.

Coraz częściej dyskutujemy o suwerenności technologicznej. Czy w obszarze telekomunikacji, cyberbezpieczeństwa, łączności satelitarnej Polska może być w pełni niezależna?

Stuprocentowa suwerenność technologiczna we współczesnym świecie nie jest możliwa. Prawdziwa suwerenność nie polega jednak na samodzielnej produkcji każdego elementu. To inteligentna niezależność, sytuacja, w której w razie kryzysu lub wojny nikt z zewnątrz nie odetnie nas jednym kliknięciem od danych, zasobów czy łączności.

Tę niezależność opieramy na czterech filarach. Pierwszym jest dostęp do danych i kontrola nad nimi. Musimy wiedzieć, gdzie dane się znajdują, kto nimi zarządza, i mieć gwarancję dostępu. Sama obecność serwerów w Polsce nie wystarczy, jeśli zarządzający nimi podmiot zewnętrzny odetnie nas od systemów. Zostaniemy ze sprzętem, z którego odzyskanie informacji będzie skrajnie trudne. Drugi element to suwerenność operacyjna, czyli ciągłość działania bez uzależnienia od jednego dostawcy, regionu czy środowiska chmurowego. Trzeci, najważniejszy filar, to kompetencje naszych kadr, które muszą utrzymać infrastrukturę w razie utraty wsparcia producenckiego. Czwarty to suwerenność łańcucha dostaw. Ponieważ każdy sprzęt zawiera zagraniczne komponenty, musimy stawiać na otwarte standardy i dywersyfikację. Budujemy niezależność tam, gdzie to krytyczne, a w pozostałych obszarach dywersyfikujemy źródła, by móc płynnie zastąpić dostawcę.

Exatel przez lata współpracował głównie z administracją publiczną, ze służbami i z sektorem obronnym, a dziś rozwija ofertę dla biznesu. Czym państwowy operator różni się od klasycznego telekomu?

Klasyczny operator dba przede wszystkim o zasięg, przepustowość i jakość łączy dla klienta końcowego. My, jako operator państwowy dla usług krytycznych, skupiamy się na bezwzględnej ciągłości działania oraz niezależności w warunkach kryzysu. Nasza infrastruktura musi działać niezawodnie bez względu na przerwy w zasilaniu czy zakłócenia zewnętrzne. Budujemy kompleksowe rozwiązania łączące ciągłość operacyjną z cyberodpornością. Rozwijamy własne Security Operations Center i oprócz technologii zewnętrznych wdrażamy autorskie produkty, takie jak choćby nasz system ochrony przed atakami DDoS czy własne rozwiązania do budowy bezpiecznych sieci w modelu rozproszonym, którymi zabezpieczamy klientów.



> Nasza infrastruktura musi działać niezawodnie bez względu na przerwy w zasilaniu czy zakłócenia zewnętrzne. Budujemy kompleksowe rozwiązania łączące ciągłość operacyjną z cyberodpornością

MSWiA uznało niedawno spółkę Exatel za podmiot ochrony ludności. Co to oznacza w praktyce dla spółki i obywateli?

To dla nas olbrzymia odpowiedzialność i formalne usankcjonowanie funkcji, którą pełnimy od lat. Musimy zagwarantować niezawodne działanie łączności w sytuacjach kryzysowych, podczas katastrof naturalnych, takich jak powodzie i wichury, w trakcie poważnych awarii czy konfliktu zbrojnego. Wymaga to projektowania sieci o najwyższej odporności na przestoje energetyczne oraz budowy redundancji łączącej łącza naziemne, radiowe i satelitarne. Nie zmieniamy strategii, lecz konsekwentnie rozszerzamy zakres naszej odpowiedzialności i skalę świadczonych usług.

Dlaczego łączność satelitarna stała się tak newralgicznym elementem odporności państwa?

Ostatnie lata pokazały, że tradycyjna redundancja łączy naziemnych i radiowych bywa w kryzysie niewystarczająca. W razie poważnego zdarzenia w regionie naziemne magistrale mogą ulec zniszczeniu lub odcięciu. Łączność satelitarna jest całkowicie niezależna od lokalnych incydentów na ziemi, stając się kluczową alternatywą dla ciągłości komunikacji. Dlatego budujemy suwerenne kompetencje satelitarne, także na podstawie niskiej orbity, aby realizować te usługi w sposób profesjonalny i nowoczesny.

Exatel rozwija własny teleport satelitarny i bierze udział w programach GOVSATCOM oraz IRIS2. Dlaczego kontrola nad teleportem jest tak istotna?

Mamy świadomość, że bez własnych systemów jesteśmy bezbronni. Musimy przejść z roli klienta komercyjnych usług zagranicznych do roli zarządcy i administratora. Kluczowym elementem systemu jest naziemny teleport, gdzie dane schodzą na ziemię. Własny teleport zapewnia pełną suwerenność. Mamy teleport geostacjonarny o zasięgu globalnym, a w ramach programu IRIS2 rozmawiamy z MSWiA i partnerami z Europy o zaangażowaniu Exatel w zapewnienie suwerennych rozwiązań dla państwa polskiego.

Czy ambicją spółki Exatel jest tworzenie polskich technologii kosmicznych, czy integracja rozwiązań z rynku?

Podchodzimy do tego pragmatycznie: nie zamierzamy wymyślać koła na nowo. Tam, gdzie możemy wesprzeć polski sektor kosmiczny i wykorzystać krajowe komponenty, konsekwentnie to robimy. Jednocześnie integrujemy wiodące technologie europejskie o otwartych standardach, dbając o to, by w razie zmian geopolitycznych móc elastycznie zastąpić dowolny element.

Coraz głośniej mówi się o technologiach kwantowych. Dlaczego dystrybucja kluczy kwantowych staje się realnym elementem bezpieczeństwa państwa?

Superkomputery kwantowe wkrótce wyjdą z laboratoriów i z łatwością złamią tradycyjne algorytmy szyfrujące. Odpowiedzią są dwa kierunki: kryptografia postkwantowa, czyli nowe algorytmy matematyczne, oraz kwantowa dystrybucja klucza (QKD). W QKD opieramy się na prawach fizyki, każda próba podsłuchu światłowodu modyfikuje stan cząsteczek światła, co system natychmiast wykrywa i przerywa transmisję. W Exatel przechodzimy w tym obszarze do fazy wdrożeń produkcyjnych.

Które trzy technologie w ciągu najbliższej dekady najsilniej zredefiniują bezpieczeństwo państwa?

Po pierwsze, kompleksowe cyberbezpieczeństwo zintegrowane z technologiami kwantowymi i nowoczesnym szyfrowaniem, kluczowe dla odporności infrastruktury krytycznej, bankowej, energetycznej i administracji. Po drugie, sztuczna inteligencja. To technologia rewolucjonizująca pole walki w sieci, stanowiąca potężne narzędzie w rękach atakujących, ale i kluczowy system wczesnego wykrywania oraz automatycznej mitygacji zagrożeń. Po trzecie, technologie satelitarne przeżywające ogromny boom w obszarze łączności, zobrazowań i monitoringu. Zdolność do łączenia tych trzech domen zadecyduje o odporności i suwerenności nowoczesnego państwa.

PARTNER
EXATEL

eprasa.pl 28ea867565

Świat

W poszukiwaniu nowych wrogów

Izraelscy politycy często odwołują się w kampaniach do zewnętrznego zagrożenia, aby mobilizować wyborców. Dla urzędującego premiera może to być ostatnia deska ratunku

Karolina

Wójcicka

Przed październikowymi wyborami do Knesetu walczący o utrzymanie władzy Binjamin Netanjahu przekonuje Izraelczyków, że powinni obawiać się czterech mężczyzn: przywódcy Iranu Modżtaby Chameneiego, lidera Hezbollahu Naima Qassema, burmistrza Nowego Jorku Zohrana Mamdaniego oraz prezydenta Turcji Recepa Tayyipa Erdoğana. „Chcą, żeby Netanjahu przegrał. Nie pozwól im wygrać" – głosi hasło na wielkich billboardach w Tel Awiwie, na których widnieją ich wizerunki.

Nie dziwi, że wieloletni przywódca Izraela wykorzystuje w swojej kampanii Chameneiego i Qassema – jego państwo jest z oboma w stanie wojny. Nie jest też zaskoczeniem przedstawianie jako zagrożenia Mamdaniego, uosabiającego nową, krytyczną wobec Izraela Amerykę, która głośno mówi o ludobójstwie w Strefie Gazy i opowiada się po stronie Palestyńczyków.

Znacznie bardziej zaskakujący jest czwarty cel: Erdoğan. Z tureckim prezydentem Netanjahu nie jest jeszcze na wojnie. Jeszcze, bo wiele wskazuje, że również ten front chciałby otworzyć. Świadczą o tym jego ostatnie odważne, a wręcz desperackie posunięcia. Jednym z nich była ubiegłotygodniowa decyzja o zaatakowaniu bazy lotniczej Abu al-Duhur w północnej Syrii. Netanjahu stwierdził, że uderzenie było konieczne ze względu na obawy, iż Turcja się tam „osiedli". W Izraelu mówiło się, że Ankara planuje odbudować bazę po wyniszczającej wojnie domowej oraz rozmieścić w niej swoje wojska i radary obrony powietrznej. – Nie będziemy tolerować umacniania się tureckiego wojska, które przesuwa się na południe, ponieważ stanowi to dla nas zagrożenie – skwitował Netanjahu w rozmowie z izraelskim radiem wojskowym.

Turcja jest obecna militarnie w północnej Syrii co najmniej od 2017 r. Odegrała też istotną rolę we wspieraniu syryjskiej opozycji, w tym Hajat Tahrir asz-Szam (HTS), które w grudniu 2024 r. doprowadziło do obalenia reżimu Baszszara al-Asada. Relacje Ankary z nowymi władzami w Damaszku są jednak złożone. Prezydent Ahmad asz-Szara korzysta ze wsparcia Turcji, ale stara się zachować autonomię i nie dopuścić do nadmiernej zależności od Ankary.



eprasa.pl 28ea867565

Czysto wyborcza zagrywka

Kancelaria Erdoğana zaprzeczyła izraelskim doniesieniom, zarzucając Netanjahu prowadzenie „ekspansjonistycznej i destabilizującej polityki" przed październikowymi wyborami do Knesetu. Do tej argumentacji przychylają się Amerykanie. Tom Barrack, na co dzień sprzyjający Izraelowi ambasador USA w Ankarze, poszedł nawet o krok dalej, twierdząc, że atak na syryjską bazę lotniczą mógł być próbą „sprowokowania" konfliktu z Turcją przed wyborami. Jego zdaniem Ankara mogła w takiej sytuacji poderwać myśliwce, aby przechwycić izraelskie samoloty, co groziłoby „niepotrzebną eskalacją". Później przekonywał też, że mogłoby to doprowadzić do „III wojny światowej". Potwierdził jednocześnie, że w bazie nie znajdowały się tureckie siły wojskowe, a Ankara nie zamierzała przejmować nad nią kontroli.

Próba znalezienia nowego wroga to klasyczny modus operandi izraelskich polityków, którzy często odwołują się do zewnętrznego zagrożenia, by mobilizować wyborców. „Celem jest wytworzenie poczucia permanentnego stanu wyjątkowego" – zauważa Amos Harel, dziennikarz „Ha-Areca". Dla Netanjahu może to być ostatnia deska ratunku, bo według sondaży jego szanse na zachowanie fotela premiera maleją. Gdyby wybory odbyły się w tym tygodniu, Likud zdobyłby zaledwie 19 mandatów w Knesecie, wobec 32 obecnie – wynika z badania pracowni Midgam Project. To zdecydowanie za mało, by wraz ze skrajną prawicą zbudować nowy rząd.

Opinia publiczna postrzega Netanjahu jako słabego przywódcę, przede wszystkim ze względu na unikanie odpowiedzialności za atak Hamasu z 7 października 2023 r. i brak zdecydowanego zwycięstwa w wojnach, które wybuchły później. Premier próbuje więc odbudować swój wizerunek „pana od bezpieczeństwa", który kreował we wcześniejszych kampaniach. A że Donald Trump dąży obecnie do wygaszenia konfliktów na Bliskim Wschodzie i ograniczenia izraelskich działań, uwaga Netanjahu nieuchronnie zwraca się w stronę Turcji i Syrii.

Tureckie siły patrolujące syryjskie pogranicze 4 października 2019 r.



FOT. DELIL SOULEIMAN/AFP/EAST NEWS

Turcja nowym Iranem?

Podejrzliwość wobec Turcji wykracza daleko poza koalicję rządzącą. Ja'ir Lapid, szef partii Jesz Atid, który w przypadku zwycięstwa opozycji w wyborach może zostać ministrem spraw zagranicznych, publicznie poparł atak na bazę lotniczą Abu al-Duhur w Syrii, choć opowiedział się za nieco bardziej dyplomatycznym podejściem. – Musimy jasno pokazać, że nie będziemy tolerować działań Turcji na naszym podwórku, ale jednocześnie stworzyć mechanizm zarządzania konfliktem, aby uniknąć niepotrzebnych katastrof. Obecna sytuacja nie jest dla nas dobra. Nie potrzebujemy tworzyć kolejnych konfliktów w regionie, lecz im zapobiegać – powiedział.

Jeszcze dalej posunął się Naftali Bennett, jeden z głównych liderów opozycji. – Turcja i Katar zdobyły wpływy w Syrii, a także starają się zwiększać swoje wpływy w całym regionie. I w tym miejscu ostrzegam: Turcja to nowy Iran. Erdoğan jest wyrafinowanym i niebezpiecznym graczem, a jego celem jest okrążenie Izraela. Nie możemy po raz kolejny zamykać na to oczu – stwierdził. Ze słów obu polityków można jednak wywnioskować, że za wielkim „tureckim zagrożeniem" kryje się rywalizacja o to, kto będzie rozdawał karty na Bliskim Wschodzie.

Jeszcze w latach 90. Tel Awiw i Ankara często działały wspólnie przeciwko wrogim państwom regionu, takim jak Iran i Syria. Łączyły je interesy w przemyśle obronnym, manewry wojskowe i dialog strategiczny. Turcja była pierwszym muzułmańskim krajem, który uznał Izrael. Jednak z czasem zaczęły się pojawiać coraz głębsze pęknięcia. Erdoğan pozostaje jednym z najbardziej zdecydowanych orędowników sprawy palestyńskiej.

Konflikt między Turcją a Izraelem zaostrzył się szczególnie po 7 października 2023 r. Erdoğan zaczął nazywać Netanjahu zbrodniarzem wojennym i oskarżać państwo żydowskie o ludobójstwo Palestyńczyków. Izraelski przywódca nie pozostawał mu dłużny. Z jednej strony próbował przekonać administrację amerykańską, by nie sprzedawała Ankarze F-35, z drugiej nie szczędził Erdoğanowi ostrych słów. W niedawnym wpisie na portalu X jego kancelaria nazwała tureckiego prezydenta „antysemickim tyranem, który uciska własny naród".

Gwoździem do trumny okazała się jednak Syria. Po upadku Asada zarówno Erdoğan, jak i Netanjahu zaczęli zabiegać o ustanowienie tam własnych stref wpływów. Ankara ustawiła się w roli głównego patrona nowych władz, wspierając administrację kierowaną przez Ahmada al-Szarę i licząc na umocnienie swojej pozycji gospodarczej i wojskowej w tym kraju.

Z kolei Izrael niemal natychmiast zaczął ostrzeliwać cele w Syrii i zajmować tam kolejne tereny. W pierwszych dniach po obaleniu Asada izraelskie lotnictwo przeprowadziło setki nalotów na lotniska, systemy obrony powietrznej, magazyny broni i inne obiekty wojskowe. Wojska lądowe wkroczyły zaś do strefy buforowej ustanowionej na mocy porozumienia z 1974 r., a następnie posunęły się w głąb południowej Syrii i zajęły m.in. strategiczne pozycje na górze Hermon.

Państwo żydowskie pozostaje głęboko sceptyczne wobec nowych władz w Damaszku, w których skład wchodzi wielu byłych dżihadystów, z prezydentem asz-Szarą na czele. Dlatego popiera większą autonomię syryjskich Kurdów i Druzów, wykorzystując ich jako uzasadnienie dla własnych działań. Gdy latem ubiegłego roku Siły Obronne Izraela (IDF) przeprowadziły serię nalotów na centrum Damaszku, uderzając m.in. w kompleks ministerstwa obrony i okolice pałacu prezydenckiego, Tel Awiw tłumaczył operację koniecznością ochrony druzyjskiej mniejszości.

Turcy się obawiają, że Izrael dąży do rozbicia i trwałej destabilizacji Syrii. Ankara chce natomiast zjednoczonej i sprzyjającej jej Syrii, z silną władzą centralną i ograniczoną autonomią mniejszości.

Dwa bloki

Rywalizacja powoli rozlewa się na cały region. Na początku sierpnia Turcja wraz z bogatą Arabią Saudyjską i mającym broń nuklearną Pakistanem podpisała w Mekce pakt obronny. Treść umowy nie została podana do publicznej wiadomości, dlatego nie jest jasne, jakie konkretnie zobowiązania przyjęły na siebie strony. Wiadomo jednak, że wzorowały się na art. 5 Traktatu Północnoatlantyckiego. Pakistańskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych poinformowało, że układ „stanowi, iż zbrojny atak na którekolwiek z trzech państw będzie uznawany za atak na wszystkie trzy".

Wojny na Bliskim Wschodzie skłoniły wiele państw do poszukiwania nowych sposobów wzmocnienia własnego bezpieczeństwa bez uzależniania się od Stanów Zjednoczonych. „Bezprecedensowe irańskie ataki oraz brak konsultacji ze strony USA przed rozpoczęciem wojny wywołały głęboką frustrację przywódców państw regionu wobec kraju, który od pierwszej wojny w Zatoce odgrywał rolę ich głównego partnera w dziedzinie bezpieczeństwa" – czytamy w analizie Atlantic Council.

Tak zmotywowani sojusznicy mogą zmienić układ sił na Bliskim Wschodzie, zwłaszcza jeśli do porozumienia dołączyłyby kolejne państwa. Już dziś mówi się o Egipcie i Bangladeszu. Byłaby to konkurencja dla modelu ustanowionego przez porozumienia abrahamowe z 2020 r., które doprowadziły do normalizacji stosunków Izraela z Bahrajnem, Marokiem i Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi. Przed 7 października 2023 r. podobną umowę negocjowała również Arabia Saudyjska. Jednak ze względu na duże poparcie dla sprawy palestyńskiej w saudyjskim społeczeństwie Rijad nie mógł sobie pozwolić na normalizację stosunków z Izraelem w czasie wojny w Gazie.

„Oparty na USA porządek regionalny może się teraz przekształcić w Bliski Wschód podzielony na dwa bloki: państwa, które pozostały wierne porozumieniom abrahamowym, oraz ich alternatywę w postaci porozumienia z Mekki. Wcześniej regionalne rywalizacje i spory były pod kontrolą, bo przywódcy przywiązywali dużą wagę do relacji ze Stanami Zjednoczonymi, które spajały cały ten porządek. Teraz, gdy Pakistan, Arabia Saudyjska i Turcja forsują wizję, która bezpośrednio konkuruje z porozumieniami abrahamowymi, najwyraźniej już tak nie jest" – zauważa Council on Foreign Relations.

Kluczowe pytanie brzmi: czy ta zaostrzająca się rywalizacja doprowadzi do militarnego starcia dwóch uzbrojonych po zęby państw? „W krótkiej perspektywie bezpośrednia konfrontacja wojskowa między Turcją a Izraelem jest scenariuszem o poważnych konsekwencjach, ale niskim prawdopodobieństwie" – pisała przed atakiem na bazę Abu al-Duhur Burcu Ozcelik z think tanku Royal United Services Institute. „Stratedzy odpowiedziani po obu stronach za bezpieczeństwo prawdopodobnie pozostaną ostrożni, mając świadomość, że decyzja o eskalacji lub podważeniu istniejących mechanizmów zapobiegania konfliktom wiązałaby się ze znaczącymi kosztami politycznymi i operacyjnymi. Zamiast bezpośredniej konfrontacji bardziej bezpośrednim zagrożeniem jest konflikt poniżej progu wojny, czyli działania w tzw. szarej strefie" – dodaje.

Nawet ograniczony konflikt może się odbić na NATO. Choćby dlatego, że Ankara będzie musiała skierować więcej zasobów wojskowych, przemysłowych i politycznych na południowy kierunek. Dlatego Europejska Rada Spraw Zagranicznych postuluje, by Europejczycy zaangażowali się w ograniczanie negatywnych skutków rywalizacji między Turcją a Izraelem. Pomogłoby to osłabić destabilizacyjny efekt nowej linii podziału, a jednocześnie pozwoliło Ankarze przekierować przynajmniej część potencjału przemysłowego i militarnego z Bliskiego Wschodu na współpracę z pozostałymi sojusznikami z NATO w celu obrony Europy. ©℗

Więcej tekstów tej autorki Skanuj kod! DGP.pl

eprasa.pl 28ea867565

Zerwać z talasofobią



Afryka, która w pierwszych miesiącach konfliktu w Zatoce Perskiej mocno ucierpiała, teraz zaczyna się zastanawiać, jak skorzystać na kłótni o cieśninę Ormuz

Mariusz

Janik

„W chwili, gdy wchodzimy w erę postormuzową – okres, w którym globalny system nie jest już definiowany przez pojedynczy punkt – Afryka zyskuje unikatową okazję, by odwrócić swój los i wychynąć z peryferii światowej geopolityki" – przekonuje na internetowej stronie stacji Al-Dżazira pochodzący z Mozambiku historyk i analityk Rafael Shikhani. „Zamiast być dostawcą surowców i odbiorcą strategicznych decyzji podejmowanych w innych regionach, Afryka może stworzyć własny geopolityczny kontekst" – dodaje.

Jak podsumowuje Shikhani, cechą charakterystyczną polityki państw Czarnego Lądu jest talasofobia. Termin ten oznacza lęk przed otwartymi i głębokimi akwenami, takimi jak oceany, morza czy wielkie jeziora. W praktyce chodzi mu raczej o to, że wizje polityczne państw kontynentu miały charakter lokalny: kraje skupiały się na uzyskaniu niepodległości, konfliktach wewnętrznych oraz granicznych, polityce związanej z rolnictwem i przemysłem. Mórz i oceanów nie traktowano jako obszarów, na których da się prowadzić politykę, z którymi wiążą się strategiczne interesy lub dla których tworzy się wizje rozwojowe. Po prostu były.

Praktycznie żaden kraj Afryki nie przejawiał zainteresowania budową marynarki, floty handlowej (wyjąwszy bandery do wynajęcia przez międzynarodowych, często szemranych, armatorów), infrastruktury portowej (tu z kolei wyjątkiem są instalacje służące eksportowi surowców lub porty zbudowane niegdyś – w tożsamym zresztą celu – przez mocarstwa kolonialne), systemów wspólnego zarządzania akwenami czy korytarzami transportowymi, czy tego, co nazywa się dziś niebieską gospodarką (blue economy). Zresztą mało kto widział taką potrzebę: specyfiką jest tu utrzymywanie przez każdy kraj intensywniejszych kontaktów z państwami i regionami spoza Afryki – dawnymi metropoliami kolonialnymi, Chinami, Bliskim Wschodem, Azją – niż pomiędzy sobą w obrębie Czarnego Lądu.

Skupienie na indywidualnie pielęgnowanych kontaktach było hamulcem integracji, a tworzenie spójnej i obejmującej cały kontynent gospodarki morskiej wymaga przede wszystkim współdziałania: współdzielenia i synchronizacji prawa, pojawiania się prężnych stref ekonomicznych na pograniczach, wspólnego dowództwa wojskowego, dzielenia się kompetencjami i danymi wywiadowczymi. Skoro państwa kontynentu wciąż toczą dysputy na temat przebiegu granic lądowych, można tylko spekulować, jak burzliwe byłyby debaty na temat znacznie bardziej abstrakcyjnych granic morskich. Budowanie morskiego potencjału wymaga poza tym wydatkowania pieniędzy na wspólne przedsięwzięcia.

Tymczasem dominującym trendem było i jest krótkowzroczne bilansowanie kosztów i zysków: port potrafi ożywić nie tylko najbliższą okolicę, ale i regiony leżące w nieco większym oddaleniu – zatem warto poczekać, aż sąsiad zafunduje sobie taką inwestycję; ożywi ona gospodarczo i „nasze" obszary sąsiadujące z tym portem, a nie trzeba będzie wysupływać na to środków. Do tego należy dorzucić odmienne problemy na rozmaitych morskich rubieżach Afryki: północ i północny zachód borykają się z falami imigrantów i uchodźców, którzy próbują forsować morskie granice Europy, Róg Afryki – z piractwem, pas zachodniego wybrzeża – z przemytem i nielegalnymi połowami azjatyckich flot kutrów rybackich.

Zapalenie płuc Afryki

Konsekwencje braku integracji gospodarek Afryki ujawniły się cztery lata temu, gdy Rosja zaatakowała Ukrainę. Nie przypadkiem porozumienie dotyczące dostaw zboża poprzez Morze Czarne zostało wynegocjowane szybko i stosunkowo konsekwentnie go przestrzegano – ziarno to miało zasadnicze znaczenie dla bezpieczeństwa żywnościowego Czarnego Lądu, a na sympatii Afryki zależało zarówno Moskwie, jak i Kijowowi.

Kryzysowa sytuacja powtórzyła się wiosną tego roku, gdy USA oraz Izrael zaatakowały Iran. Już w marcu władze Zimbabwe zwiększyły ilość dolewanego do benzyny etanolu z 5 do 20 proc., firmy paliwowe w Etiopii dostały listy odbiorców o priorytetowym znaczeniu, w Kenii co piąta stacja benzynowa zaczęła mieć kłopoty z zaopatrzeniem, Sudan Południowy zaczął racjonować dostawy prądu (96 proc. energii elektrycznej w kraju jest wytwarzane z ropy), a Mauritius wdrożył w ekspresowym tempie program zapobiegania marnowaniu energii.

Oczywiście, Afryce nie brak własnej ropy. Problem w tym, że eksportujące ją państwa oferują głównie tańszy, nieprzetworzony surowiec. W efekcie Afryka zaspokaja dziś aż 61 proc. swojego rodzimego popytu na paliwa rafinowane produktami z importu. A popyt ten gwałtownie rośnie – ponad 300 proc. w latach 2000–2023 – co z kolei jest zasługą zażegnania wielu konfliktów z poprzednich dekad oraz koniunktury w kilku największych i najbardziej stabilnych krajach – teoretycznie lada chwila Afryka ma szansę stać się najszybciej rozwijającym się gospodarczo regionem świata, choć oczywiście twierdzenie to nie odnosi się do wszystkich państw kontynentu i trzeba je zestawić ze stosunkowo niskim poziomem startu.

Inna sprawa, że konflikt taki jak blokada cieśniny Ormuz może ten trend zahamować. Ropa to w gruncie rzeczy zaledwie wierzchołek góry lodowej. Cały handel, jaki Afryka prowadzi ze światem – a im mniej własnego biznesu i przemysłu ma kraj, tym bardziej ten handel ma dla niego krytyczne znaczenie – gwałtownie podrożał. Kenijska gazeta „The East African" w czerwcu informowała, że stawki za dostarczenie towarów na kontynent zwiększyły się od wiosny o 80 proc. Kanadyjski International Institute for Sustainable Development w analizie poświęconej sytuacji Czarnego Lądu zamieścił też wzmiankę o tym, że „niektórzy dostawcy" produktów na rynki afrykańskie zaczęli doliczać sobie kryzysową premię – 4 tys. dol. ekstra za każdy kontener dowieziony do portu. Jakby tego było mało, jak zauważył nowojorski ośrodek The Soufan Center, o ile w pierwszych dniach po wybuchu konfliktu w Zatoce Perskiej afrykańscy gastarbeiterzy na Półwyspie Arabskim przesłali rodzinom w Afryce znacznie więcej pieniędzy niż zwykle, o tyle wkrótce później wartość przekazów pieniężnych gwałtownie spadła – i pozostaje wyjątkowo niska, co może oznaczać, że część robotników opuściła region Zatoki lub straciła pracę.

Zamknięta (przeważnie) w ostatnich miesiącach cieśnina Ormuz zagraża także bezpieczeństwu żywnościowemu Afryki. Przede wszystkim za sprawą załamania dostaw nawozów. Z danych Konferencji Narodów Zjednoczonych ds. Handlu i Rozwoju (UNCTAD) wynika, że z regionu Zatoki Perskiej pochodzi 13 proc. używanych na świecie nawozów. W Afryce te wskaźniki są znacznie wyższe: Sudan kupował w tym

eprasa.pl 28ea867565



FOT. AKINTUNDE AKINLEYE/REUTERS/FORUM

Afryce nie brak własnej ropy. Eksportujące ją państwa oferują jednak głównie tańszy, nieprzetworzony surowiec

regionie aż 54 proc. używanych u siebie nawozów, Tanzania – 31 proc., Somalia – 30 proc., Kenia – 26 proc., Mozambik – 22 proc. (wszystkie dane za 2024 r.). Gwałtowna redukcja dostaw oznacza niższe plony.

Surowcowy miecz obosieczny

Globalny rachunek za konflikt w Zatoce Perskiej i przestoje w cieśninie Ormuz będzie astronomiczny, co do tego nie ma większych wątpliwości. Już po pierwszych dwóch miesiącach szacowano go na 1 bln dol. (szacunki organizacji 350.org przeprowadzone na danych MFW), z czego lwia część to wyższe ceny paliw. Ale też wyższe ceny paliw oznaczają wyższe dochody koncernów paliwowych i państw-eksporterów.

To w oczywisty sposób pozwala afrykańskim koncernom i państwom eksporterom wzmocnić swoją sytuację finansową. Z perspektywy globalnej Afryka jest przecież jednym z najsilniejszych pod tym względem regionów świata. „W Afryce znajduje się ok. 30 proc. globalnych zasobów mineralnych, 8 proc. gazu naturalnego oraz 12 proc. rezerw ropy naftowej" – informuje Program Narodów Zjednoczonych ds. Środowiska (UNEP). – „Kontynent kryje 40 proc. światowych złóż złota i do 90 proc. chromu i platyny. Największe rezerwy kobaltu, diamentu, platyny i uranu znajdują się właśnie w Afryce. Posiada ona też 65 proc. światowych terenów nadających się pod uprawy i 10 proc. wewnętrznych odnawialnych źródeł wody na świecie" – czytamy.

Problem w tym, że w dużej mierze złoża te są pod kontrolą firm, które dopuszczono do ich eksploatacji, a nie władz, które – często z powodu niekompetencji, korupcji lub zależności politycznych – nie patrzą biznesowym partnerom na ręce. Mści się też eksploatacja oparta na wywozie nieprzetworzonych surowców. Poza tym bogactwa kontynentu są rozłożone nierównomiernie, wśród 54 krajów kontynentu (żaden nie ma ich więcej) są potencjalni potentaci, ale też państwa całkowicie ich pozbawione. – Dla Afryki wyższe ceny ropy zawsze były mieczem obosiecznym – komentuje na łamach magazynu „Forbes Africa" Folake Shakirah Lawal, ekspertka firmy Pan Allen Energy Nigeria. – Mogą one generować nadwyżkowe przychody i większe zyski z eksportu, lecz równie wiele gospodarek kontynentu wciąż jest zależnych od importu rafinowanych produktów naftowych – kwituje.

Przykładem boomu, jaki zapanował w branży surowcowej, jest południowoafrykański węgiel. Wiele krajów – w szczególności w Azji – zareagowało na blokadę Ormuzu gwałtownym przestawieniem rodzimej energetyki na źródła węglowe. Za tym idzie zwiększony popyt, który odnotowuje jedna z największych firm w RPA – koncern Thungela (co w języku zulu oznacza „rozpalanie" czy „podpalanie"). Firma raportowała niedawno, że w pierwszym półroczu tego roku jej zyski podwoiły się w stosunku do analogicznego okresu ubiegłego roku. Wydobycie wzrosło z kolei mniej więcej o jedną trzecią (co ilustruje z kolei relację ceny do poziomu produkcji).

To może dodatkowo pobudzać wyobraźnię mieszkańców Czarnego Lądu co do szans, jakie do tej pory nie były wykorzystywane. „Afrykańscy przywódcy i mieszkańcy kontynentu obejmują kontrolę nad swoimi zasobami i mówią: «Wystarczy, dość!»" – pisze brytyjska dziennikarka sudańskiego pochodzenia Zeinab Badawi w wydanej w 2024 r. książce «Afrykańska historia Afryki». – Afryka nadal jest eksporterem stosunkowo nieprzetworzonych produktów rolnych i mineralnych na ograniczoną liczbę rynków. Jednak widać wyraźne oznaki industrializacji kontynentu".

Według niej przykłady tego procesu można dostrzec m.in. w Demokratycznej Republice Konga i Namibii. „DRK przeprowadza rewizję wszystkich swoich górniczych joint venture z udziałem kapitału zagranicznego, tak, by kontrakty tworzyły realną wartość dla kraju (oddzielną kwestią jest to, czy ewentualne dodatkowe dochody zostaną spożytkowane w sposób transparentny)" – odnotowuje Badawi. – „W 2022 r. Namibia zakazała eksportu surowego litu, bo zamierza przetwarzać go u siebie, aby zwiększyć zyski, wskakując oczko wyżej w łańcuchu wartości. Afrykańskie rządy zaczynają rozumieć, że muszą zapewnić silne ramy regulacyjne i stabilność dla inwestorów, by pozwolić prosperować zagranicznym i krajowym sektorom prywatnym" – konkluduje.

Meandry afrykańskiej dyplomacji

Badawi, podobnie jak Shikhani, jest zdania, że jednym z najważniejszych elementów dalszego rozwoju Czarnego Lądu jest integracja i współdziałanie. Spektakularnych przykładów takich działań brakuje, ale Afryka stosunkowo zgodnie stara się, by jej stanowiska i działania miały subtelny charakter. O ile w przypadku agresji Rosji na Ukrainę kontynent był podzielony – część państw podkreślała swoją neutralność, nieliczne potępiły agresję, za to nie brakowało komentarzy i sygnałów, że to Rosja jest ważniejszym partnerem Czarnego Lądu, o tyle w obliczu konfliktu w Zatoce afrykańscy liderzy mniej lub bardziej otwarcie dają do zrozumienia, że blokowanie cieśniny przez Iran jest im niemiłe (do nielicznych wyjątków może należeć Etiopia, która była ważnym partnerem handlowym Iranu, choć zaczynała też rozwijać alternatywne relacje z arabskimi krajami Zatoki). Afrykańskie państwa w gronie rotacyjnych członków Rady Bezpieczeństwa ONZ – obecnie Liberia, Somalia i DRK – bezdyskusyjnie poparły rezolucję potępiającą ataki Iranu na arabskie kraje Zatoki Perskiej. Wielokrotnie władze państw Afryki wyrażały też swoją solidarność i poparcie dla atakowanych przez Teheran krajów.

To nie oznacza poparcia dla Waszyngtonu. – Każdy racjonalny człowiek musi przyznać, że kryzys ten został wywołany przez Donalda Trumpa – podsumował w rozmowie z Deutsche Welle Dismas Mokua, analityk kenijskiej firmy doradczej Tricarta. – Ale większość liderów kontynentu, a skądinąd też całego świata, obawia się obciążyć go otwarcie odpowiedzialnością za ten konflikt z obawy przed konsekwencjami – dodawał.

Nie ma też większej szansy na to, by Afryka przemówiła przez swoje regionalne organizacje. – Komisja Unii Afrykańskiej w Addis Abebie zdążyła już sobie poparzyć palce w pierwszych dniach wojny w Ukrainie, kiedy jej poprzedni przewodniczący skrytykował Rosję – uzupełniała Liesl Louw-Vaudran, ekspertka organizacji International Crisis Group. – Przywódcy państw członkowskich natychmiast go uciszyli, zastrzegając, że komisja nie ma prawa wypowiadać się w kwestiach polityki zagranicznej w imieniu krajów kontynentu – dorzucała.

Ale przemawianie jednym głosem to zaledwie punkt wyjścia. Shikhani w swojej analizie postuluje znacznie więcej – zauważa, że Unia Afrykańska już dekadę temu przyjęła Zintegrowaną Strategię Morską, a osiem lat temu Afrykańską Kartę Bezpieczeństwa Morskiego, ale oba te dokumenty nie zostały wdrożone; ba, Karta nie została nawet ratyfikowana przez wszystkich członków organizacji. Jego zdaniem jest to doskonałym wskaźnikiem wspomnianej już talasofobii.

Konieczna jest zatem zmiana mentalności: dostrzeżenie potencjału oblewających kontynent akwenów i podjęcie działań, by je symbolicznie i praktycznie ujarzmić. Instytucje, budżety i struktury dowodzenia – to narzędzia tego procesu i jednocześnie wskaźniki jego zaawansowania. Realnymi graczami w tym ujęciu powinny być RPA, Nigeria, Egipt, Maroko, Kenia, Angola i Senegal, czyli państwa, które są najbardziej wyspecjalizowane na Czarnym Lądzie w korzystaniu z możliwości, jakie daje posiadanie dostępu do wielkich akwenów, w których kulturze i historii morza i oceany odgrywają już wielką rolę, a na brzegach rozwija się – lepiej czy gorzej – blue economy.

Za tym pójdą działania praktyczne: wykorzystanie i implementacja już istniejących mechanizmów (Strategia i Karta), wspólne budowanie nadzoru, współdzielenie informacji, projekty monitoringu satelitarnego, patrolowania wybrzeży, ułatwienia w handlu i transporcie obejmujące w pierwszej kolejności sąsiadów. Temu z kolei powinny towarzyszyć inwestycje w kapitał ludzki i know-how – uczelnie morskie, badania hydrogeograficzne, stocznie. Afrykański Bank Rozwoju powinien stworzyć specjalny fundusz z przeznaczeniem na rozwój takiej polityki. Zwieńczeniem powinna być Afrykańska Strefa Wolnego Handlu oraz wzmocnienie odporności na szoki takie jak wojna w Ukrainie czy blokada Ormuzu. – Era po Ormuzie nie jest zagrożeniem dla Afryki, to być może jej największa dotychczas szansa – dowodzi mozambicki analityk Rafael Shikhani. – Pytanie nie brzmi: czy Afryka zajmie należne jej miejsce w nowej geopolityce? Bo to miejsce zajmuje za sprawą geografii i swoich zasobów. Prawdziwe pytanie brzmi: czy kontynent wypracuje strategiczną wizję konieczną, by być podmiotem, a nie przedmiotem historii? – kwituje.

Można się zżymać, że Afryka i jej liderzy nieraz już tworzyli panafrykańskie wizje, których nie potrafili przekuć w realia lub robili to w sposób, który okazywał się karykaturalny. Bywali w tamtejszej polityce liderzy, którzy usiłowali nadać Czarnemu Lądowi wspólną dynamikę – Kwame Nkrumah, Mu'ammar al-Kaddafi, Nelson Mandela i wielu innych. Kończyło się lepiej lub gorzej, ale Afrykanie wiele na tym nie zyskali. Być może, aby ziścił się optymizm Badawi, potrzeba wiele łyżek dziegciu dodawanych do peanów o przebudzeniu Afryki wygłaszanych przez autorów takich jak Shikhani. ©℗

Więcej tekstów tego autora Skanuj kod! DGP.pl

eprasa.pl 28ea867565



FOT. WOJTEK GÓRSKI

Drugi bilion dolarów

Tomasz Jóźwik

Elon Musk nie ma dobrej passy, odkąd w czerwcu na rynku Nasdaq zadebiutowała spółka SpaceX. Wycena jego aktywów, w połowie czerwca zbliżona do 1,5 bln, zmalała o ponad 40 proc. Musk stracił tytuł bilionera.

Wszystko przez spadek wartości zarządzanych przez niego firm. Notowania specjalizującej się w transporcie kosmicznym, łączności satelitarnej i rozwoju sztucznej inteligencji SpaceX obniżyły się o jedną trzecią w porównaniu ze szczytowym poziomem sprzed ponad dwóch miesięcy. Akcje firmy kosztują obecnie ok. 140 dol., o 7 proc. mniej niż na pierwszej sesji. Kurs akcji Tesli, czołowego producenta samochodów elektrycznych, spadł w tym roku o ponad 20 proc. To nie jest dobry wynik, biorąc pod uwagę, że indeks S&P 500, który obrazuje notowania największych amerykańskich korporacji, zyskał w tym samym czasie 12 proc., niemal 30 razy poprawiając rekord wszech czasów.

Spadek wyceny SpaceX nie jest szczególnym zaskoczeniem. Spółka w dalszym ciągu jest wyceniana na ponad 1,8 bln dol. i mieści się w pierwszej dziesiątce firm o najwyższej wartości rynkowej notowanych na światowych giełdach. Wyróżnia się tym, że jako jedyna w tym gronie przynosi straty. W opublikowanym w sierpniu raporcie za II kw. firma pochwaliła się ponad 90-procentowym wzrostem przychodów w stosunku do poprzedniego roku, które osiągnęły 7,8 mld dol. Jednocześnie SpaceX straciła w tym okresie 0,5 mld dol. W porównaniu z analogicznym okresem 2025 r. strata była o połowę niższa. Dla pozostałych najwyżej wycenianych spółek, wśród których dominują amerykańskie korporacje technologiczne, standardem jest wypracowywanie rekordowych zysków z kwartału na kwartał.

Z trzech głównych linii biznesowych SpaceX zyski przynosi jedynie łączność satelitarna. To jej silnik finansowy. Jednak podwojenie liczby abonentów sieci Starlink do 12 mln i ponad 1,5 mld dol. zysku operacyjnego z tej działalności to za mało, żeby pokryć potrzeby inwestycyjne firmy. Najwięcej pieniędzy pochłania rozwój AI i w najbliższym czasie to się nie zmieni. W dostępnym w mediach społecznościowych przemówieniu do pracowników SpaceX Musk podkreślił, że rozwój Groka jest dla firmy priorytetem.

Pochodzący z RPA biznesmen jest przekonany, że modele AI staną się niebawem zbyt zaawansowane, żeby ludzie byli w stanie je kontrolować. Chciałby, żeby SpaceX jako pierwsza opracowała taką technologię. Przynajmniej na razie przegrywa na tym polu z konkurencją, przede wszystkim z Anthropikiem i OpenAI. Żeby przyspieszyć rozwój Groka, SpaceX sfinalizowała w sierpniu przejęcie za 60 mld dol. firmy Anysphere, twórcy narzędzia Cursor, wspomagającego programowanie oparte na AI. Witając nowych pracowników, Musk zaznaczył, że nie jest przyzwyczajony do porażek, więc powinni dołożyć wszelkich starań, żeby pomóc w doskonaleniu Groka.

Według biznesmena AI będzie głównym źródłem przychodów SpaceX jeszcze w tym roku. Obecnie na obszar ten przypada jedna trzecia obrotów firmy. Spółka dalej inwestuje też w sektory, w których jest globalnym liderem. We wtorek ujawniła plan budowy w południowej Luizjanie swojej największej platformy startu w przestrzeń kosmiczną. Inwestycja pochłonie 100 mld dol. Od 2029 r. mają być z niej wystrzeliwane rakiety nowej generacji Starship, nad którymi toczą się zaawansowane prace.

Przy okazji publikacji raportu kwartalnego Musk zadeklarował, że w przyszłym roku SpaceX wyśle na orbitę pierwsze satelity obliczeniowe, co ma być krokiem do budowy orbitalnych centrów danych. To jedyna spółka, która dysponuje dziś technologią pozwalającą na komercyjne wynoszenie ładunków na orbitę za pomocą rakiet. Udźwig wykorzystywanego obecnie Falcona 9 to niecałe 10 ton, jeśli opcją jest powrót na Ziemię. Starship ma umożliwiać wysłanie w kosmos ładunku o wadze ponad 100 ton przy niemal pełnym odzysku rakiety. Dopiero wtedy projekt orbitalnych centrów danych zyska odpowiednią skalę. W 2030 r. przychody SpaceX mają sięgnąć biliona dolarów. Deklaracje Muska eksperci biorą za dobrą monetę. Analitycy Morgan Stanley stwierdzili, że przy obecnej cenie akcje spółki są atrakcyjną inwestycją. Podtrzymali też swoje wcześniejsze szacunki, według których w dłuższej perspektywie akcje będą warte 300 dol.

Realizacja celów wyznaczanych przez Muska nie zawsze idzie gładko, co pokazują ostatnie problemy Tesli. Po tym, jak w 2024 r. firma straciła miano globalnego lidera w sprzedaży samochodów elektrycznych na rzecz chińskiego BYD, prezes postawił na rozwój pojazdów autonomicznych i robotyki. W zeszłym roku przekonał akcjonariuszy, by przyznali mu w formie wynagrodzenia za pracę pakiet akcji wyceniany obecnie na ponad 800 mld dol. Warunek – do 2035 r. ma osiągnąć określone cele operacyjne, a wartość rynkowa Tesli musi wzrosnąć do 8,5 bln dol.

Projekty związane z autonomiczną jazdą nie przebiegają jednak zgodnie z harmonogramem. W kwietniu Tesla uruchomiła, na razie na ograniczoną skalę, produkcję Cybercaba. Pojazd bez pedałów i kierownicy ma być wykorzystywany w usługach Robotaxi, które Tesla świadczy w oparciu o model Y. Na razie w USA jeździ jedynie kilka-



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Pudrowanie długu

Artur Klimek

Jeśli kraj przyciąga uwagę nie wzrostem PKB, lecz poziomem zadłużenia, oznacza to zapowiedź wielkich problemów. Tak było w przypadku m.in. Argentyny, Grecji czy Japonii. Najnowszym przykładem są Stany Zjednoczone, których dług przekroczył właśnie rekordowe 40 bln dol. Co prawda sekretarz skarbu Scott Bessent twierdzi, że USA są w stanie zmniejszać zadłużenie poprzez wzrost gospodarczy, lecz rynki nie są do tego przekonane.

Deficyt budżetowy w USA sięga 6 proc. PKB i jest bardzo wysoki jak na okres wzrostu gospodarczego i niskiego bezrobocia. Wraz ze zwiększającym się zadłużeniem rosną koszty jego obsługi, bo inwestorzy domagają się wyższej zapłaty za ryzyko pożyczania pieniędzy rządowi. To istotne, bo obligacje skarbowe USA są wyznacznikiem kosztu długu dla innych podmiotów oraz znajdują się w rezerwach wielu państw i instytucji finansowych.

Nie tylko treasuries, amerykańskie obligacje skarbowe, są emitowane w coraz większej liczbie. Oprócz długu państwowego na rynek trafia coraz więcej długu korporacyjnego z przeznaczeniem na pokrycie wysokich wydatków związanych z rozwojem sztucznej inteligencji. Największe amerykańskie korporacje zadłużają się nie tylko na rodzimym rynku, lecz także sięgają po środki w euro, we franku szwajcarskim czy w dolarze australijskim. Coraz większe potrzeby pożyczkowe państw i firm trafiają na globalny rynek długu, co tylko zwiększa konkurencję o kapitał.

Choć USA są niekwestionowanym liderem w kwestii zadłużania się, nie jest to tylko amerykański problem. Dochodzą do tego długi innych wielkich gospodarek – Europa potrzebuje pieniędzy na zbrojenia, a Japonia na utrzymanie stabilności budżetowej. Zatem problemy jednej gospodarki mogą się rozlać po świecie.

Minęły te piękne czasy, gdy najbardziej wiarygodne gospodarki pozyskiwały środki przy ujemnym oprocentowaniu. Tak, jeszcze nie tak dawno wierzyciele płacili za możliwość ulokowania środków w bezpiecznych obligacjach skarbowych. Ostatnim takim epizodem była pandemia COVID-19. W 2020 r. Niemcy mogły się zadłużać na 10 lat przy rentowności minus 0,5 proc. Spośród dużych gospodarek również Francja i Japonia cieszyły się podobnym przywilejem. Rentowność obligacji USA wynosiła wówczas ok. 0,5 proc.

Sytuacja szybko się zmieniła za sprawą inflacji i podążających za nią coraz wyższych stóp procentowych. Ileż to inwektyw wypowiedzianych przez Donalda Trumpa musiał wysłuchać od początku 2025 r. ówczesny szef Fed Jerome Powell, bo bank centralny nie godził się na obniżki stóp, co mogłoby obniżyć koszt państwowego długu. Obecnie rentowność 10-letnich amerykańskich obligacji wynosi 4,65 proc. (za LSEG). Niemcy płacą 3,26 proc. i nawet Japonia, słynąca z ultraniskiego kosztu długu, musi płacić prawie 3 proc.

Odsetki od obligacji stanowią w USA już trzecią największą kategorię wydatków federalnych – zaraz po socjalnych i ochronie zdrowia. Mogą co prawda spaść na czwartą pozycję, ale tylko dlatego, że amerykański rząd stara się o znaczną podwyżkę wydatków na obronność.

Do problemu wysokiego zadłużenia można podejść albo od strony fundamentów makroekonomicznych, albo skorzystać z inżynierii finansowej. W ubiegłym tygodniu Departament Skarbu USA wybrał drugie rozwiązanie: nagle, czym zaskoczył rynek, zapowiedział zwiększenie skupu obligacji o długim terminie zapadalności (10- i 30-letnich). A mówimy o instytucji kluczowej dla światowej gospodarki – jednak jej szef wywodzi się z sektora finansowego i w jego działaniach można dostrzegać więcej z drapieżnego inwestora niż przezornego urzędnika. A ostatnią rzeczą, której oczekują inwestorzy, jest nieprzewidywalność.

Większym problemem niż sama interwencja jest sposób jej przeprowadzenia. Trzeba dodać, że to kolejna manipulacja rządu w gospodarce szczycącej się daleko posuniętą wolnością: wcześniej przejmowano udziały w spółkach giełdowych oraz wspierano japońską walutę. Zarówno interwencja na jenie, jak i bezpośrednie działania na rynku długu mają ten sam mianownik – wsparcie rynku amerykańskiego długu. Japonia to największy zagraniczny posiadacz amerykańskich obligacji. Część z nich mogła zostać wprowadzona na rynek, aby skupić jeny za pozyskane dolary i w ten sposób wesprzeć japońską walutę. Doprowadziłoby to jednak do zwiększenia podaży amerykańskich papierów i wzrostu ich rentowności. Stąd Departament Skarbu wolał wesprzeć Tokio w interwencji na rynku walutowym. Wykorzystano jednak posiadane rezerwy euro, a nie dolary, co było zaskakujące, ale uzasadnione obawami o rynek amerykańskich obligacji.

Wpompowanie dziesiątków miliardów dolarów w podwyższenie wartości jena wobec dolara na niewiele się jednak zdało. Podobnie wyglądają na razie efekty zapowiedzi wcześniejszego wykupu obligacji. Dla-

eprasa.pl 28ea867565

dziesiąt autonomicznych taksówek Tesli, choć Musk deklarował, że będą one dostępne dla połowy Amerykanów do końca 2025 r.

Co więcej, jego spółka zaczyna przegrywać na tym polu z konkurencją. Całkowicie autonomiczne pojazdy Tesli pokonały dotychczas 612 tys. km. Firma Waymo, której właścicielem jest Alphabet (spółka matka Google'a), miała na liczniku 354 mln km na koniec marca. Pod koniec lipca zgodę na komercyjne świadczenie usług przewozowych realizowanych przez pojazdy bez pedałów i kierownicy dostała należąca do Amazona firma Zoox. Tesla jeszcze nie otrzymała pozwolenia, a nie jest to zwykła formalność. W teorii prawo federalne nie przewiduje możliwości dopuszczenia do ruchu pojazdów bez określonych elementów sterowania. Zoox przekonał jednak władze, że jego samochody są co najmniej tak bezpieczne jak tradycyjne auta.

Nacisk ze strony konkurencji może sprawić, że Tesla nie osiągnie zakładanych celów: 1 mln robotaksówek i 10 mln klientów korzystających z autonomicznych przewozów. To jeden z warunków, które firma powinna spełnić, by Musk otrzymał nagrodę. Jest też alternatywna droga. W umowie określającej warunki wynagrodzenia biznesmena zapisano, że cele operacyjne zostaną zrealizowane, jeśli Tesla zostanie przejęta. Łatwo wskazać potencjalnego nabywcę. To SpaceX. Posiadając zdecydowaną większość głosów, Musk jest w stanie przeforsować taką operację. Dziennik „Wall Street Journal" zwraca uwagę, że firma jest zarejestrowana w Teksasie, którego prawo ogranicza możliwość zablokowania przejęcia Tesli na drodze sądowej.

Transakcja, której wartość może być zbliżona do 2 bln dol., nie jest tylko teoretycznym scenariuszem. Niektórzy analitycy uwzględniają w wycenie Tesli premię, jaką może zapłacić SpaceX za przejęcie spółki. Największą tego typu operację przeprowadzono w 2000 r. w branży telekomunikacyjnej, gdy brytyjski Vodafone kupił niemieckiego Mannesmanna za ok. 180 mld dol.

W łączeniu kontrolowanych przez siebie firm Musk ma już doświadczenie. W lutym SpaceX przejęła xAI, spółkę odpowiedzialną za rozwój sztucznej inteligencji. Ten obszar działalności łączy SpaceX także z Teslą, co tylko podsyca spekulacje o fuzji. Firmy realizują razem z Intelem projekt budowy fabryki mikroprocesorów, która będzie dostarczać imperium Muska sprzęt niezbędny dla AI. Transakcja ma więc podstawy biznesowe. Dla przedsiębiorcy byłaby też szansą na zwiększenie kontroli nad Teslą, w której posiada ok. 20 proc. udziałów.

Jeśli dojdzie do przejęcia, jedynym parametrem decydującym o wysokości premii dla prezesa będzie cena zapłacona przez spółkę. Żeby Musk mógł otrzymać pełen pakiet akcji, wartość rynkowa Tesli musiałaby sięgnąć 8,5 bln dol. (obecnie to prawie 1,4 bln dol.). Biorąc pod uwagę jego prognozy, czekanie i tak nie miałoby sensu. Szef Tesli i SpaceX uważa, że za 10 lat posiadany majątek nie będzie mieć żadnego znaczenia, ponieważ dowolną ilość dóbr i usług za półdarmo wyprodukują dla nas zarządzane przez sztuczną inteligencję roboty. ©℗

czego? Po pierwsze, nie ogłoszono zmian w polityce fiskalnej; nie zapowiedziano ani wzrostu dochodów, ani spadku wydatków. Po drugie, rynek ocenił, że skala wcześniejszego wykupu obligacji jest niska w porównaniu z poziomem zadłużenia i nie może realnie zmienić trendu narastania długu. Po trzecie, wykup obligacji o długim terminie zapadalności musi zostać sfinansowany emisjami papierów dłużnych o krótszych terminach. Tym samym nie zmniejszy się samo zadłużenie, lecz przesuną się jedynie terminy wykupu. Regułą na rynkach obligacji są wyższe odsetki przy dłuższym okresie, a niższe przy krótszym. W ten sposób mogłyby w pewnym stopniu spaść astronomiczne koszty obsługi długu.

Współczesna gospodarka to jednak system naczyń połączonych. Jeśli tnie się podatki, trzeba szukać innych źródeł finansowania wydatków budżetowych. Budżetowa dziura po ostatniej obniżce podatków w USA (zyskują zamożni) miała zostać sfinansowana wpływami z wysokich ceł nakładanych na importowane towary (mają one z kolei charakter regresywny i bardziej uderzają w biedniejszych).

Zgodnie z analizą Peterson Institute for International Economic, w okresie od października ubiegłego roku do czerwca tego roku cła w wysokości 163 mld dol. sfinansowały niecałe 9 proc. deficytu w budżecie federalnym. Co więcej, w maju i czerwcu tego roku miały miejsce zwroty opłat celnych w wysokości 70 mld dol., co spowodowało ubytek netto z tytułu ceł w wysokości prawie 26 mld dol. Zatem w ostatnim okresie cła, zamiast stanowić źródło wpływów budżetowych, stały się kolejnym obciążeniem.

Ostatnia interwencja Departamentu Skarbu (sfera fiskalna) komplikuje działania Fed (sfera monetarna). Tym bardziej że rynki finansowe wyrażają duży sceptycyzm wobec poczynań nowego szefa banku centralnego. Kevin Warsh dotychczas nie przekonał ich, że panuje nad inflacją. Stąd inwestorzy, widząc ryzyko rosnących cen, domagają się wyższej opłaty za kapitał pożyczany państwu.

Zwiększenie skupu amerykańskich obligacji skarbowych od razu przełożyło się na osłabienie dolara. To może z kolei przyczynić się do wzrostu poziomu inflacji z powodu wzrostu importu. Do tego dochodzą wojna na Bliskim Wschodzie i zakłócenia w dostawach paliw. Coraz to nowe cła też nie pomagają w obniżaniu inflacji. Należy też w całej sytuacji uwzględnić boom na rynku sztucznej inteligencji, który finansowany jest w dużej mierze długiem. Wszystko to komplikuje sytuację w amerykańskich finansach publicznych i podaje w wątpliwość to, czy tamtejsze władze panują nad zawiłą inżynierią finansową. ©℗

Autor jest profesorem Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu



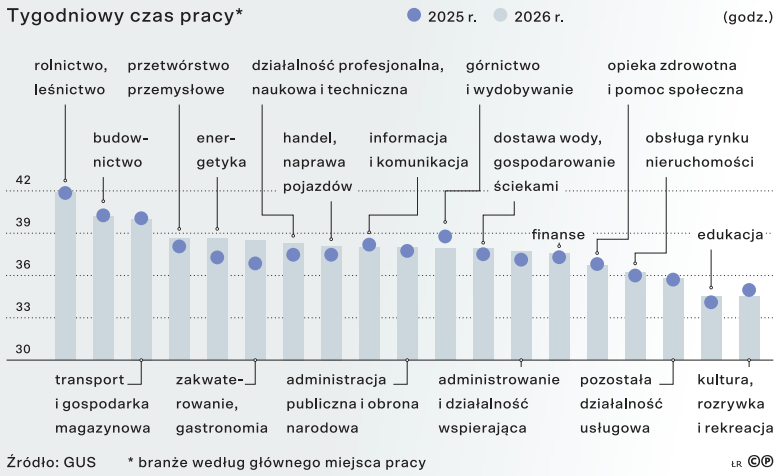
Mniej Więcej

Łukasz

Wilkowicz

Kto długo pracuje

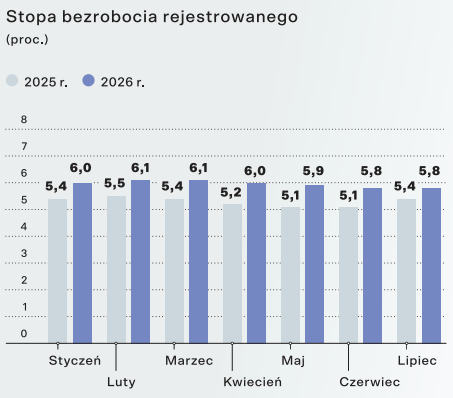
Polacy regularnie mieszczą się w unijnej czołówce pod względem tygodniowego czasu pracy. Ze statystyk Eurostatu wynika, że w 2025 r. przed nami byli jedynie Grecy i Bułgarzy. I u nas jest jednak pewne zróżnicowanie branżowe. Najwięcej przepracowanych godzin tygodniowo notuje się w rolnictwie, budownictwie i transporcie – co najmniej 40. Na drugim biegunie jest edukacja oraz kultura i rozrywka z wynikiem nieprzekraczającym 35 godzin. W II kw. 2026 r. największy wzrost liczby przepracowanych godzin w porównaniu z analogicznym okresem poprzedniego roku miał miejsce w zakwaterowaniu i gastronomii (o 1,6 godziny), a największy spadek w górnictwie (o 0,9 godz.). ©℗



Źródło: GUS * branże według głównego miejsca pracy LR ©℗

Stabilizacja bezrobocia

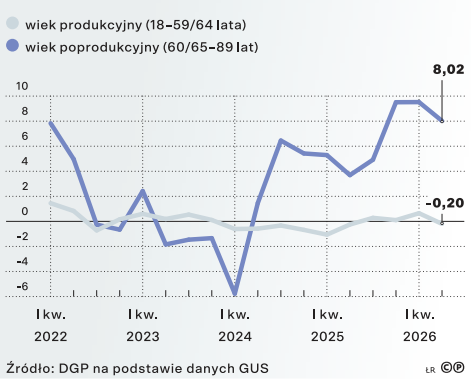
Stopa bezrobocia rejestrowanego w lipcu wyniosła 5,8 proc. – podał GUS. To taki sam wynik, jak miesiąc wcześniej. W okresie letnim, gdy trwają prace sezonowe, bezrobocie rejestrowane jest z reguły najmniejsze. Równocześnie w lipcu odsetek osób zarejestrowanych w urzędach pracy rósł w ujęciu rocznym znacznie wolniej niż w poprzednich miesiącach. Powód? W połowie ubiegłego roku weszły w życie zmiany w przepisach, które spowodowały, że trudniej wypada się ze statystyk bezrobocia rejestrowanego i w efekcie jego stopa poszła wyraźnie w górę. Teraz dane są bardziej porównywalne, a niekorzystny „efekt bazy" przestał działać. ©℗



Źródło: GUS LR ©℗

Skąd się biorą pracownicy

W II kw. w krajowej gospodarce mieliśmy 17,2 mln pracujących – podał GUS. W porównaniu z II kw. 2025 r. liczba zwiększyła się o 36 tys. (wśród mężczyzn był spadek o 55 tys., wśród kobiet wzrost o 91 tys.). Biorąc pod uwagę osoby w wieku produkcyjnym, liczba zatrudnionych od kilku lat nie rośnie, a nawet wykazuje lekką tendencję spadkową. Wypełniają ją ludzie starsi. Zatrudnienie osób w wieku poprodukcyjnym w II kw. br. osiągnęło poziom 849 tys., a jeszcze na początku bieżącej dekady było o ok. 100 tys. niższe. „Silversi" to obecnie 5 proc. zatrudnionych. Można być pewnym, że w najbliższych latach ten odsetek będzie szybko rósł. ©℗



Źródło: DGP na podstawie danych GUS LR ©℗

eprasa.pl 28ea867565

Historia

Kanada do aneksji

Sekretarz stanu James Blaine wierzył, że ekonomiczne głodzenie Kanady skłoni ją, by przyłączyła się do Stanów Zjednoczonych. Jego plan po 135 latach usiłuje ponownie wcielić w życie Donald Trump

Andrzej

Krajewski

W piątek wieczorem, 21 sierpnia premier Kanady Mark Carney zawiesił negocjacje handlowe z USA, uznając amerykańskie warunki za nie do przyjęcia. Prezydent Donald Trump odpowiedział na to 50-proc. cłami na kanadyjskie towary o wartości 28 mld dol.

Chcąc zrozumieć sens tej wojny ekonomicznej, warto się cofnąć do końcówki XIX w., do czasów sekretarza stanu Jamesa Blaine'a i prezydenta Benjamina Harrisona. Obaj politycy uznali, że doprowadzenie Kanadyjczyków do bankructwa sprawi, iż ci zechcą zostać obywatelami USA.

Atrakcyjne jabłuszko

Harrison oraz Blaine wprawili Kanadyjczyków w osłupienie, jeszcze zanim rozpoczęli urzędowanie. Już 13 lutego 1889 r. dziennik „Toronto Daily Mail" zacytował Blaine'a, który mówił, że „Kanada jest jak jabłko będące tuż poza naszym zasięgiem. Możemy starać się je zerwać, ale gałąź z nim cofa się przed naszymi rękoma proporcjonalnie do naszych wysiłków. Zostawmy je w spokoju, w odpowiednim czasie je dostaniemy".

Były senator reprezentujący graniczny stan Maine wielokrotnie wyrażał publicznie antykanadyjskie poglądy. Jego wyborcy od dekad zaciekle konkurowali z rybakami, rolnikami i producentami drewna z sąsiedniego kraju. Zaś Blaine stawał w obronie ich interesów. Tym razem zamiast żądać wysokich ceł, powiedział coś, co kanadyjski premier John MacDonald uznał za zawoalowaną groźbę dążenia do aneksji Kanady. Podczas burzliwej debaty w parlamencie oznajmił to wprost, oskarżając opozycyjną Partię Liberalną, że po cichu wspiera plany Amerykanów.

Wkrótce przypuszczenia MacDonalda zaczęły się potwierdzać. Blaine z entuzjazmem poparł protekcjonistyczne postulaty kongresmena Williama McKinleya, nazywanego w Partii Republikańskiej Napoleonem taryf (czytaj: ceł ochronnych). Ustawa jego autorstwa sprawiła, że 1 października 1890 r. gospodarkę USA od Kanady oddzielił mur celny. Wywindowane do wysokości 50 proc. taryfy importowe spowodowały, że wymiana handlowa niemal zamarła. Te same cła uderzały w towary sprowadzane także z Wielkiej Brytanii, ale dla niej obostrzenia McKinleya nie miały tak wielkiego znaczenia. Natomiast dla kanadyjskich producentów Stany Zjednoczone pozostawały głównym rynkiem zbytu.

„Nie mam wątpliwości, że ustawa McKinleya została uchwalona z głównym, jeśli nie jedynym, zamiarem sprowokowania kryzysu politycznego w Kanadzie" – twierdził sir Alexander Galt w liście do Williama Gladstone'a z 26 lutego 1891 r. Były już kanadyjski minister finansów alarmował polityka mającego wkrótce zostać premierem Wielkiej Brytanii eż USA chcą anektować brytyjskie dominium. Stać się to miało za sprawą ekonomicznego głodzenia kanadyjskich rolników i przedsiębiorców. Tak mocnego, by zapragnęli zmusić rząd do podjęcia decyzji o przyłączeniu Kanady do Stanów Zjednoczonych.

Tymczasem Blaine dopiero się rozpędzał. Po jego rekomendacjach prezydent Harrison zarządził blokady najważniejszych dla Kanadyjczyków szlaków handlowych i mnożył restrykcje celne. Zaś powołana do życia Liga



„To tylko kwestia czasu", karykatura z XIX w. przedstawiająca amerykańskie starania wchłonięcia Kanady

FOT. BETTMANN/GETTY IMAGES

eprasa.pl 28ea867565

Unii Kontynentalnej na masową skalę korumpowała kanadyjskich polityków i dziennikarzy.

Aneksja mile widziana

Blaine spóźnił się z planem o 40 lat. Bo w 1849 r., gdyby tylko amerykańscy politycy zechcieli, Kanada stałaby się kolejnym ze stanów. Wówczas to brytyjski parlament przyjął ustawy zbożowe (Corn Laws) znoszące preferencje celne dla żywności i innych towarów sprowadzanych z kolonii.

Kanadyjskim przedsiębiorcom żyjącym z eksportu zboża, skór zwierzęcych, drewna i ryb do Wielkiej Brytanii zajrzało w oczy bankructwo. Wówczas kupcy z Montrealu wpadli na pomysł, że unia z USA otworzy dla nich amerykański rynek. Z ich inicjatywy ogłoszono 14 września 1849 r. manifest wzywający Kanadyjczyków, aby opowiedzieli się za przyłączeniem do USA. Podpisało go 325 montrealskich biznesmenów oraz polityków. „Manifest Aneksji Montrealskiej doskonale oddaje, jak wyglądał ruch unijny w XIX-wiecznej Kanadzie. Jego autorzy opierali swoją argumentację wyłącznie na wąskim interesie ekonomicznym. Od pierwszego do ostatniego akapitu manifestu opowiadali się za unią polityczną w celu poprawy sytuacji finansowej Kanady" – opisuje Donald F. Warner w monografii „The Idea of Continental Union".

Tak narodził się ruch aneksjonistyczny, który początkowo zdobył sobie wśród Kanadyjczyków licznych zwolenników. Mieszkańcy brytyjskiej kolonii uznali, że podległość wobec Londynu przestaje się im opłacać. Jednak gubernator generalny Kanady James Bruce dostrzegł czym to grozi i w bardzo zręczny sposób przystąpił do tonowania nastrojów. Zaoferował kolonistom bardzo szeroką autonomię polityczną włącznie z rządem powoływanym przez lokalny parlament i odpowiadającym przed deputowanymi, a nie przed brytyjskim monarchą. Dorzucił obietnicę, iż załatwi także przedsiębiorcom swobodny dostęp do amerykańskiego rynku.

Na jego prośbę w 1849 r. do Waszyngtonu udał się specjalny wysłannik brytyjskiego rządu. Ale negocjacje szły jak po grudzie. W Kongresie politycy ze stanów północnych za nic nie chcieli zrezygnować z protekcjonistycznych barier. Co ciekawe, solidarnie wsparli ich kongresmeni i senatorowie z południa. Oni z kolei obawiali się, iż bliskie związki gospodarcze Kanady z USA przyniosą jej wstąpienie do Unii, a wówczas stany niewolnicze znalazłyby się w mniejszości.

Bezowocne rozmowy trwały aż do 1852 r. Wreszcie Londyn stracił cierpliwość – u wybrzeży Ameryki pojawiła się eskadra 19 okrętów. Oficjalnie jej zadaniem było wyłapywanie kutrów rybackich z USA, prowadzących nielegalne połowy na kanadyjskich wodach terytorialnych. Sytuacja stała się jednak napięta i zapachniało wojną. „Niebezpieczeństwo zderzenia dwóch sił morskich zaniepokoiło rząd amerykański i przekonało go do konieczności osiągnięcia porozumienia w nierozstrzygniętych kwestiach" – relacjonuje Warner.

Od tego momentu negocjacje ruszyły, a przed samym ich finałem w marcu 1854 r. do Waszyngtonu przybył osobiście James Bruce. „Wytworny gubernator generalny użył swoich talentów towarzyskich i dyplomatycznych w taki sposób, że zalał sprzeciw sceptycznych senatorów powodzią rozmów i szampana. Traktat został przyjęty przez Senat 2 sierpnia 1854 r. znaczną większością głosów, a prezydent podpisał go trzy dni później" – opisuje Warner.

Ofiary wojny secesyjnej

Lord James Bruce, walcząc z ruchem aneksjonistycznym, dał Kanadzie demokrację wzorowaną na brytyjskiej oraz uchylił drzwi do państwowej suwerenności. Na oścież otworzyła je w 1867 r. Ustawa o Brytyjskiej Ameryce Północnej. Przekształcała ona kolonię w dominium, którego tytularnym monarchą pozostawał brytyjski monarcha, lecz jedynie w sprawach polityki zagranicznej musiało ono uzgadniać swoje poczynania z Londynem.

W międzyczasie został zerwany traktat handlowy z USA. Podczas wojny secesyjnej Wielka Brytania wspierała konfederatów dostawami broni oraz budując dla nich okręty. Na dokładkę w kanadyjskich portach przeładowywano towary na statki przedzierające się następnie do portów południowców przez nałożoną przez Północ blokadę morską. Czarę goryczy przelała brawurowa akcja oddziału konfederatów, który z terytorium Kanady wyprawił się do Vermont. Udało im się 19 października 1864 r. sterroryzować miasto, obrabować bank i uciec. Wprawdzie zostali potem aresztowani, lecz sąd, powołując się na względy formalne, nakazał uwolnić rabusiów. Waszyngton nie zamierzał odpuścić. „Po debacie przepełnionej nienawiścią wobec Kanady, Izba (Reprezentantów – red.) przyjęła rezolucję wzywającą prezydenta do powiadomienia o unieważnieniu traktatu" – pisze Warner. Wkrótce taką samą rezolucję przyjął Senat.

Wypowiedzenie umowy handlowej nastąpiło 17 marca 1865 r. Ekonomiczny odwet przyniósł pożądane efekty. Wartość kanadyjskiego eksportu do USA spadła z ok. 50 mln do niewiele ponad 25 mln dol. „W latach 1867 i 1868 bankowość i rybołówstwo upadły, a tysiące rodzin w regionach nadmorskich musiały zmagać się z głodem i niedostatkiem" – opisuje Warner. „Nie mogąc znaleźć pracy w kraju, wielu kanadyjskich rybaków zaciągnęło się na amerykańskie statki, a następnie wróciło do kraju z kieszeniami i umysłami wypchanymi argumentami za przyłączeniem do Stanów Zjednoczonych" – dodaje.

Ruch aneksjonistyczny znów rósł w siłę. Jednak kryzys nie trwał długo i w 1870 r. wymiana handlowa prawie wróciła do poziomu sprzed wypowiedzenia traktatu. Sprzyjały temu ogólna obniżka amerykańskich ceł, jaka nastąpiła po wojnie secesyjnej oraz przyznanie Kanadzie prawa do bezcłowych kontyngentów w zamian za dostęp do północnych łowisk dla amerykańskich rybaków. Poza tym kubły zimnej wody na głowy aneksjonistów wylewali prasa w USA i zwykli obywatele, okazując olbrzymią niechęć do wszelkich pomysłów wprowadzenia Kanady do Unii. Przekonali się o tym na własnej skórze prezydent Ulysses Grant i jego sekretarz stanu Hamilton Fish. Na początku urzędowania w 1869 r. razem z senatorem Charlesem Sumnerem wpadli na myśl, żeby zażądać od Wielkiej Brytanii przekazania Stanom Zjednoczonym Kanady jako zadośćuczynienia. Londyn miałby je uiścić z tytułu szkód, które przyniosło udzielanie wsparcia konfederatom. Żądanie to przekazano brytyjskiemu posłowi w Waszyngtonie. Jednak reakcja amerykańskiej opinii publicznej była taka, że gdy zza Atlantyku napłynęła odmowa, prezydent Grant natychmiast zapomniał o swoim pomyśle.

Narodziny narodu

Po wejściu w życie taryf McKinleya przez cały rok 1890 sekretarz stanu Blaine prowadził uprzejme negocjacje z Kanadyjczykami. Staranie dbając, żeby warunki, jakie stawia, były nie do przyjęcia. Jednocześnie likwidował wszelkie inne formy współpracy. „Faktem jest, że nie chcemy żadnych kontaktów z Kanadą poza taryfami celnymi" – informował prezydenta Harrisona. Cierpliwie czekając, aż kryzys reaktywuje ruch aneksjonistyczny. Opozycyjna wobec konserwatywnego rządu MacDonalda Partia Liberalna faktycznie coraz bardziej entuzjastycznie wspierała ideę połączenia USA z Kanadą unią celną, spychając do defensywy premiera.

Aż szczęście uśmiechnęło się do szefa rządu. Dziennikarz z liberalnego dziennika „Toronto Globe" Edward Farrer przygotował analityczną broszurę dla przywódców Partii Liberalnej. Opisał w niej, jakimi narzędziami rząd USA mógłby zmusić Kanadę do unii politycznej. Farrer wskazywał, że Waszyngton do użytych restrykcji może dorzucić jeszcze cofnięcie przywileju tranzytowego umożliwiającego Kanadyjczykom bezcłowy transport towarów przez terytorium USA oraz wprowadzenie karnych opłat tonażowych na kanadyjską żeglugę, do cna rujnując pogrążonego w kryzysie sąsiada. Jeden z pracowników drukarni, zaintrygowany napisem „tajne", przeczytał broszurę i egzemplarz zaniósł do siedziby Partii Konserwatywnej.

W ręce Johna Macdonalda trafiło „polityczne złoto". Niespodziewanie 2 lutego 1891 r. podpisał rozporządzenie o rozwiązaniu parlamentu i ogłosił nowe wybory, przy okazji oświadczając: „Urodziłem się jako brytyjski poddany. Aż do ostatniego tchu będę przeciwstawiał się «ukrytej zdradzie», która próbuje za pomocą nikczemnych środków i najemnych ofert odwieść nasz naród od lojalności". Po czym na 17 lutego zwołał wielki wiec w Toronto. W jego trakcie czytał fragmenty broszury Farrera, by następnie oskarżyć Partię Liberalną o zdradę i dążenie do przyłączenia jej do USA. Kompletnie zdezorientowani liberałowie znaleźli się w defensywie. W efekcie cała kampania wyborcza i głosowanie zamieniły się w plebiscyt: czy głosujący pragną niezależnej Kanady wiernej brytyjskiej koronie, czy też wolą stać się Amerykanami. Konserwatyści zwyciężyli niewielką różnicą głosów.

Rozeźlony tym Blaine przystąpił do dokręcania śruby. Po oskarżeniu kanadyjskiego rządu o potajemne subsydiowanie producentów zboża prezydent Harrison – na prośbę swojego sekretarza stanu – obłożył dodatkowymi opłatami celnymi barki przewożące kanałami łączącymi Wielkie Jeziora produkty rolne, paraliżując w ten sposób kluczowy dla Kanadyjczyków szlak handlowy. Do działania z początkiem 1892 r. ruszyła też Liga Unii Kontynentalnej. Stowarzyszenie założyli milionerzy i politycy, wśród których znalazł się m.in. najbogatszy wówczas człowiek świata Andrew Carnegie. Organizacja otworzyła siedziby w Nowym Jorku oraz Toronto. Wkrótce oferowane przez nią hojne stypendia zaczęły płynąć do coraz liczniejszego grona kanadyjskich polityków. Wśród nich znalazł się nawet były szef lokalnego rządu Quebecu.

Jednak pomimo olbrzymich wysiłków ze strony Ligi przyjmowania łapówek odmówił nowy lider Partii Liberalnej Wilfrid Laurier. Co więcej, młody polityk zaczął zmieniać program stronnictwa na radykalnie nacjonalistyczny i niepodległościowy. Ta wolta i nagła śmierć MacDonalda otworzyły mu drogę do stanowiska premiera. Jednak ostateczny cios planowi Blaine'a zadali tajni informatorzy z władz Ligi, których udało się Kanadyjczykom pozyskać. Pakiet przekazanych przez nich dokumentów i list płac po upublicznieniu do reszty skompromitował aneksjonistów.

Acz równie ważnymi czynnikami okazały się rzeczy, których Blaine zupełnie nie brał pod uwagę. Po dwóch latach wartość eksportu produktów rolnych z Kanady do Wielkiej Brytanii wzrosła z 3,5 mln do ponad 15 mln dol. Taryfy McKinleya nie zdusiły kanadyjskiej produkcji i handlu, lecz przekierowały eksport z rynku amerykańskiego na brytyjski. Dzięki temu w 1892 r. gospodarka Kanady wydźwignęła się z kryzysu akurat wtedy, gdy ogarnął on Stany Zjednoczone.

Ekonomiczny krach przyniósł Benjaminowi Harrisonowi wyborczą klęskę i zakończył polityczną karierę Jamesa Blaine'a, czego ów nie przeżył, umierając po nagłym załamaniu stanu zdrowia w styczniu 1893 r. Amerykanie obu przywódców pożegnali bez żalu. Od samego początku kanadyjskie awantury przytłaczająca większość opinii publicznej w USA traktowała z zupełną obojętnością. Podobnie jak dystansująca się od idei aneksjonistów prasa.

O wiele więcej powodów do zadowolenia z wojny gospodarczej mieli Kanadyjczycy. Opór stawiony potężnym Stanom Zjednoczonym wzbudził wśród nich powszechną dumę z siebie oraz własnego kraju. „W innych częściach Imperium nacjonalizm i brytyjski imperializm często działały przeciwko sobie. Cień aneksji, zawsze wiszący nad Kanadą, łagodził to napięcie. Kanadyjski nacjonalizm, celowo kultywowany jako profilaktyka przeciwko aneksjonizmowi, silnie wzmacniał oddanie Wielkiej Brytanii" – zauważa Donald F. Warner.

Jednak nie zmieniało to faktu, że Kanadyjczycy zagustowali w niepodległości i nie zamierzali jej oddać już nikomu, a zwłaszcza Amerykanom. ©℗

eprasa.pl 28ea867565



FOT. STEFAN MASZEWSKI/REPORTER

Dogorywające FSO na Żeraniu. 14 czerwca 2005 r.

Osiedle zamiast polityki przemysłowej

Dla sprawdzenia „co by było, gdyby...” istnieje ciekawszy scenariusz niż proste podstawienie Renault w miejsce Daewoo. Chodzi o decyzję, by w ogóle nie oddawać nikomu z zewnątrz kontroli nad marką FSO

Piotr

Arak

Lato 1999 r. Renault podpisuje w Bukareszcie umowę, która przeszła u nas bez echa, bo postawiliśmy na koreańskie Daewoo. I wydawało się nam, że to właśnie Żerań, a nie rumuńskie Pitești, jest bliżej europejskiej pierwszej ligi motoryzacji.

Cztery lata wcześniej sytuacja obu fabryk – FSO i Dacii – była podobna: przestarzałe linie produkcyjne, niska jakość, ale i rynek głodny czegokolwiek nowego. Dziś Dacia sprzedaje w Europie więcej aut niż niejedna marka z o wiele dłuższą tradycją. Żerań, gdzie kiedyś zjeżdżały z taśmy Polonezy, w swoim czasie nawet całkiem nowoczesne hatchbacki, nie produkuje od 2011 r. nic; formalnie fabryka nigdy nawet nie ogłosiła upadłości – po prostu przestała istnieć jako miejsce pracy.

Wspólny start, wspólne DNA

FSO i Dacia to bliźniaczki rozdzielone przy urodzeniu. Obie marki pojawiły się jako zakłady licencyjne. FSO wytwarzała Fiaty, najpierw model 508, potem 1100, zanim po II wojnie światowej, po zerwaniu umowy z Włochami z powodów politycznych, przeszła na produkcję radziecką, a później budowała własne konstrukcje: Syrenę, Warszawę, wreszcie Poloneza i znów licencyjne Fiaty 125 oraz 126. Dacia od 1966 r. montowała Renault modele 8 i 12 pod własną marką.

W 1995 r., gdy premierem był Józef Oleksy, FSO trafiło bez przetargu w ręce Daewoo. Koreańczycy nie byli jedynymi chętnymi do przejęcia fabryki. Poszukiwania partnera strategicznego ciągnęły się od połowy lat 80. i obejmowały rozmowy z Daihatsu, które ostatecznie wycofało się z ekspansji w Europie, a także z Renault i Citroënem. General Motors złożył ofertę w kwietniu 1995 r., ale zakładała sam montaż, co w praktyce oznaczało powolne wygaszanie produkcji. Oferta Daewoo obiecywała za to wytwarzanie do 0,5 mln aut rocznie i 1,5 mld dol. inwestycji, więc na tle konkurencji wyglądała najatrakcyjniej.

List intencyjny podpisano 16 sierpnia 1995 r., umowę joint venture – 14 listopada tegoż samego roku. Prezydent Lech Wałęsa lobbował za tą inwestycją rok wcześniej podczas wizyty w Korei, a decyzję o wyborze Daewoo strona polska podjęła podobno w kwadrans. Renault, ta sama firma, która kilka lat później zbuduje sukces Dacii, siedziała przy tym samym stole negocjacyjnym. I przegrała z ofertą, która była bardziej kusząca, ale, jak się okazało, znacznie ryzykowniejsza.

Przez kilka lat współpraca z Koreańczykami wyglądała obiecująco. Produkcja wzrosła do ponad 200 tys. aut rocznie (Espero, Tico, Lanos, Nubira, Matiz, Leganza), Daewoo-FSO zdobyło niemal 30 proc. polskiego rynku. Ale w 2000 r. koncern Daewoo, jak wiele innych czeboli, popadł w finansowe tarapaty i zbankrutował – FSO zostało bez właściciela i bez planu na przyszłość.

Nikt nowy nie chciał przejąć fabryki, a to głównie z powodu pakietu socjalnego, jaki związki zawodowe wynegocjowały z Daewoo: gwarancja zatrudnienia na 10 lat i ograniczenia w zwolnieniach grupowych sprawiały, że FSO stało się aktywem toksycznym z punktu widzenia każdego inwestora. Montaż pojazdów na Żeraniu zakończył się w 2011 r., ostatnim modelem był Chevrolet Aveo. Fabryka formalnie nie ogłosiła upadłości. Po prostu przestała robić samochody i przez lata funkcjonowała jako pusta struktura ze związkami zawodowymi bez pracowników produkcyjnych.

Pitești: inny scenariusz

W tym czasie Dacia trafiła do Renault, które w 1999 r. objęło 51 proc. udziałów, zwiększając zaangażowanie do 81,4 proc. w 2000 r. i do 92,72 proc. w 2001 r. Między 1999 r. a 2004 r. Francuzi zainwestowali w Dacię 489 mln euro, traktując ją nie jako podwykonawcę, tylko jako pełnoprawną markę w grupie, która ma wytwarzać nowoczesny, solidny samochód rodzinny w cenie nie do pobicia, docelowo 5 tys. euro, skierowany najpierw na rynki wschodzące.

Owocem tej strategii był Logan z 2004 r., który stał się sukcesem handlowym – także w Europie Zachodniej, gdzie pojawił się rok później. Kolejne modele – Sandero, Duster, Jogger – kontynuowały tę samą filozofię: nie luksus, tylko trwałość, praktyczność i rozsądna cena. Rumunia miała też coś, czego zabrakło Polsce – mniej skostniały układ związkowy i większe szczęście.

Widać wyraźnie trzy czynniki, które w Polsce zadziałały jednocześnie na niekorzyść FSO.

Po pierwsze, stabilność inwestora: Renault nigdy nie zbankrutowało ani się nie wycofało, w przeciwieństwie do Daewoo.

Po drugie, traktowanie lokalnej fabryki jako marki z własną tożsamością, a nie tylko montowni podzespołów: Dacia dostała jasną misję, a FSO produkowało przypadkowe modele z koreańskiego katalogu bez żadnej spójnej strategii rozwoju gamy modeli w Polsce. Najdroższe modele, jak Chairman, wręcz miały tylko przykręcaną plakietkę na Żeraniu, ale w 100 proc. były produkowane w Korei.

Po trzecie, elastyczność organizacyjna umożliwiająca restrukturyzację zatrudnienia, której FSO zostało pozbawione. Polska nie miała szczęścia do inwestora zdolnego zapewnić długoterminowy rozwój zakładu – gdyby był nim Hyundai lub Kia, historia mogłaby potoczyć się inaczej. Jednocześnie związki zawodo-

eprasa.pl 28ea867565

we miały wówczas na tyle silną pozycję, że znacząco ograniczały możliwości dostosowania przedsiębiorstwa do nowych warunków. Z dzisiejszej perspektywy można stwierdzić, że w latach 90. zabrakło nam wyobraźni i gotowości do przeprowadzenia głębszych zmian.

Gdyby w 1995 r. Polska postanowiła zrobić to sama

Dla sprawdzenia „co by było, gdyby…" istnieje ciekawszy scenariusz niż proste podstawienie Renault w miejsce Daewoo. Chodzi o decyzję, by w ogóle nie oddawać nikomu z zewnątrz kontroli nad marką. Taki eksperyment ma sens, bo ktoś już go w tamtych latach przeprowadził: Korea Południowa. Hyundai zaczynał w 1968 r. od montażu na licencji Forda Cortiny, ale już w 1975 r. wypuścił Pony: pierwszy w pełni własny projekt, z nadwoziem od Giorgetta Giugiaro i silnikiem kupionym u Mitsubishi, ale zaprojektowany i rozwijany przez własny zespół inżynierski.

Kluczowe było to, że Hyundai nigdy nie oddał kontrolnego pakietu żadnemu z zagranicznych partnerów technologicznych: kupował licencje na komponenty, a nie sprzedawał swoje firmy. Rząd w Seulu chronił przy tym rodzimy rynek wysokimi cłami i limitami importowymi, zmuszając Koreańczyków do kupowania krajowych aut, co dawało Hyundaiowi skalę produkcji niezbędną do finansowania własnych badań. Do lat 90. koncern miał już pełną zdolność projektowania silników i platform, te ostatnie są o tyle istotne, że mogą służyć do powstania wielu modeli. To taka wspólna baza konstrukcyjna samochodu, obejmująca m.in. układ jezdny i podstawowe rozwiązania techniczne.

Wyobraźmy sobie taki wariant dla FSO. Jest sierpień 1995 r., ale zamiast wybierać między Daewoo a Renault, polski rząd odrzuca obie oferty, a przynajmniej odrzuca sprzedaż większościowego pakietu. Za to, korzystając z tego samego mechanizmu co Hyundai, podpisuje z Fiatem, z którym FSO miało przecież najdłuższą, przedwojenną jeszcze relację, umowę licencyjną na silniki i platformę podwozia, bez oddawania udziałów w spółce albo przynajmniej bez oddawania większości.

FSO zostaje w rękach Skarbu Państwa, ale przy fabryce powstaje dofinansowany z budżetu i kredytów rozwojowych ośrodek badawczo-rozwojowy współpracujący z Politechniką Warszawską, którego zadaniem jest zbudowanie w ciągu dekady w pełni polskiej konstrukcji: nie kolejnej Syreny sklejonej z przestarzałych podzespołów, tylko nowoczesnego, taniego samochodu miejskiego. Zaprojektowanego od zera, z polskim silnikiem rozwijanym wspólnie z AGH i rodzimymi dostawcami komponentów. Polonez, zamiast zniknąć w 1998 r. bez następcy, staje się modelem przejściowym – jego produkcję stopniowo zastępuje pierwszy w pełni polski projekt Wars, czyli prototyp hatchbacka projektowany w latach 80., który trafia na rynek w 2003 r., cztery lata przed rumuńskim Loganem.

Rząd broni przy tym rynku wewnętrznego, ale robi to w granicach, jakie istniały. Przy czym mechanizm ochronny nie musiałby być wymyślony od zera. Polska miała już od 1992 r. narzędzie w postaci układu z poprzedniczką UE, który przewidywał dziesięcioletni okres dochodzenia do pełnej strefy wolnego handlu towarami przemysłowymi, czyli formalne zniesienie ceł na samochody sprowadzane z UE przypadało dopiero na lata 2001–2002.

Motoryzacja była przy tym traktowana jako sektor wrażliwy i korzystała z dodatkowej osłony: przez większość lat 90. cła na importowane auta osobowe sięgały 30–35 proc., a producenci montujący samochody w Polsce, żeby uniknąć tych stawek, musieli spełniać wymóg udziału krajowych komponentów – w przypadku Daewoo-FSO planowano docelowo 60–80 proc. lokalizacji produkcji, a w praktyce udział polskich części w niektórych modelach sięgnął nawet 90 proc.

Ten mechanizm istniał i naprawdę chronił FSO, różnica w naszym wariancie polega na tym, że ochrona miałaby służyć budowie niezależnej konstrukcji, a nie składaniu kolejnych modeli zaprojektowanych w Seulu. Realne okno na taką politykę zamykało się więc między 2001 r. a 2002 r. – później, wraz z postępem integracji europejskiej, dalsza protekcja rynku byłaby politycznie i prawnie coraz trudniejsza, a po akcesji w 2004 r. – już niemożliwa w dotychczasowej formie. Dziewięć czy dziesięć lat ochrony to mniej niż dostał Hyundai, ale wystarczająco dużo, by zbudować od podstaw jeden, może dwa cykle produktowe.

Problem polegał na tym, że jak mówił Tadeusz Syryjczyk, minister przemysłu w rządzie Tadeusza Mazowieckiego, „najlepsza polityka przemysłowa to brak polityki przemysłowej".

Czy Polskę byłoby na to stać

Warto policzyć koszty. Punktem odniesienia niech będą kwoty, jakie wydało Renault. Francuzi zainwestowali w Dacię 489 mln euro w ciągu pierwszych pięciu lat (1999–2004).

Czy Polskę byłoby na to stać? W najtrudniejszych, początkowych latach taki wydatek stanowiłby ok. 0,4–0,5 proc. ówczesnego, znacznie mniejszego, PKB, a w miarę jak gospodarka rosła, jego udział malał do zaledwie 0,1 proc. PKB. To wciąż mniej niż Korea Południowa i inne kraje azjatyckie latami kierowały na politykę przemysłową w priorytetowych sektorach, i wyraźnie mniej niż państwo polskie faktycznie wydało w tym samym okresie na restrukturyzację górnictwa czy hutnictwa. Dla porównania, samo dzisiejsze dofinansowanie fabryki w Jaworznie z KPO na potrzeby Izery to 4,5 mld zł. Krótko mówiąc: to nie był wydatek, którego ówczesna, dopiero startująca polska gospodarka nie mogłaby udźwignąć. Barierą nie był brakujący kapitał, tylko brak 20 lat politycznej konsekwencji.

Dacia jest dziś drugą co do wielkości sprzedaży detalicznej marką samochodów osobowych w Europie. Nie ma powodu sądzić, że polski wariant, przy porównywalnej konsekwencji, rozwinąłby się inaczej – zwłaszcza że punktem wyjścia były podobne zaplecze przemysłowe i te same warunki rynkowe co w Rumunii.

I ciąg dalszy: jak FSO budowałoby elektryka

Zwrot w kierunku polityki przemysłowej nastąpił jednak za późno i zabrakło mu konsekwencji. Spółka ElectroMobility Poland, powołana w 2016 r. przez PGE, Eneę, Energę i PKN Orlen, wystartowała z zerowym zapleczem przemysłowym: bez fabryki, bez linii produkcyjnej, bez zespołu inżynierskiego z doświadczeniem w produkcji seryjnej, bo w 2016 r. Polska nie miała już żadnej działającej fabryki samochodów osobowych, od której mogłaby zacząć. Dlatego projekt utknął na etapie prototypów, a w latach 2024–2025 rząd zrezygnował z koncepcji „polskiego samochodu pod marką Izera" na rzecz poszukiwania zagranicznego partnera (ostatecznie tajwańskiego) oraz budowy fabryki w Jaworznie finansowanej z Krajowego Planu Odbudowy.

W wersji, w której FSO zbudowało w latach 90. i w pierwszej dekadzie XIX w. własną, niezależną zdolność projektowania i produkcji, punkt startowy Izery byłby zupełnie inny. Spółka nie musiałaby zaczynać od pustego pola w Jaworznie, tylko czerpać z doświadczenia zaplecza inżynierskiego na Żeraniu – zespołu, który po 20 latach samodzielnego rozwijania samochodów i ich następców ma już wiedzę dotyczącą projektowania całych platform, a nie tylko składania gotowych zestawów. Do tego dochodzi fakt, który akurat fikcją nie jest: Polska od 2016 r. ma pod Wrocławiem, w Biskupicach Podgórnych, największą w Europie fabrykę ogniw do aut elektrycznych, LG Energy Solution, o docelowej mocy 115 GWh – zaplecze wystarczające na ponad milion samochodów elektrycznych rocznie. W realnej historii ta fabryka ogniw i polski projekt samochodu elektrycznego nigdy się ze sobą nie spotkały w jednym łańcuchu dostaw, bo po stronie motoryzacyjnej nie było komu tego połączenia zbudować. W wersji z niezależną FSO byłoby to oczywiste: producent ogniw pod Wrocławiem, krajowy producent aut na Żeraniu, a jedynym importowanym elementem byłaby licencjonowana technologia napędu elektrycznego, kupiona tak jak Hyundai kiedyś kupował silniki od Mitsubishi, bez oddawania udziałów.

Trzydzieści lat suwerenności, których zabrakło

O sukcesie nie musi zdecydować szczęśliwy wybór dobrego zagranicznego partnera. Polska miała, tak jak Korea Południowa, inne wyjście: chronić rynek, nie sprzedawać kontroli, inwestować cierpliwie przez dekadę we własne kompetencje inżynierskie, zanim w ogóle zacznie się myśleć o eksporcie. To droga trudniejsza politycznie, bo wymaga konsekwencji wielu kolejnych rządów i gotowości do tego, żeby przez lata sprzedawać gorsze, droższe auta niż zachodnia konkurencja, w zamian za budowę czegoś trwałego. Korea tę cenę zapłaciła i dziś ma Hyundaia i Kię jako globalne marki. Polska w 1995 r. wybrała drogę szybszą i pozornie tańszą: sprzedaż kontroli obcemu inwestorowi w zamian za natychmiastowy zastrzyk kapitału – i to właśnie ta decyzja, a nie brak zdolności inżynierskich czy gorsza kadra, przesądziła o tym, że dziś Żerań zamienia się w osiedle mieszkaniowe, a Izera nie może wyjechać z fabryki.

Dziś po fabryce na Żeraniu nie zostaje już nawet mech porastający puste hale. 62-hektarowy teren kupił deweloper i buduje tam osiedle – docelowo ok. 12 tys. mieszkań, z parkiem, szkołą i powierzchniami biurowymi, z horyzontem realizacji sięgającym 2050 r. To najbardziej dosłowny możliwy finał tej historii: tam, gdzie kiedyś powstawały Polonezy, powstaną bloki. Nie ma w tym nic upokarzającego: miasta zmieniają funkcje terenów przemysłowych, a poprzemysłowe działki w centrach metropolii są dziś warte więcej jako mieszkania niż jako fabryki.

Bo europejska motoryzacja przechodzi właśnie najtrudniejszy okres od dekad. W 2025 r. chińska konkurencja kosztowała europejski przemysł ok. 87 mld euro wartości dodanej, z czego samą Polskę – 11,4 mld euro, a krajowa produkcja części motoryzacyjnych spadła w ciągu roku o niemal 12 proc. Według szacunków branżowych w Europie jest dziś osiem fabryk samochodów za dużo. Udział marek chińskich w unijnych rejestracjach jeszcze na koniec marca 2025 r. wynosił 4,1 proc., a rok później, na koniec marca 2026 r., był już na poziomie 8,1 proc. – podwoił się w ciągu 12 miesięcy. Najpewniej dojdziemy do 10 proc. do 2030 r., a część ekspertów branżowych nie wyklucza nawet 30 proc. w dłuższym horyzoncie. W samej Polsce tempo jest jeszcze szybsze: w 2025 r. chińscy producenci zdobyli ok. 10 proc. rynku, a już w maju 2026 r. ich udział sięgnął 14,6 proc. MG 11. rok z rzędu było najlepiej sprzedającą się marką chińską w Europie, przekraczając w 2025 r. próg 300 tys. zarejestrowanych aut w UE i Wielkiej Brytanii i wchodząc do dwudziestki największych producentów na kontynencie.

I właśnie w tym kontekście najbardziej szkoda tego, co Polska straciła 30 lat temu. Nie chodzi o sentyment za PRL-owską motoryzacją. Chodzi o to, że dziś, gdy cała Europa gorączkowo szuka sposobu, jak przeciwstawić się chińskiej nadprodukcji tanich, dobrych elektryków, Polska nie ma żadnej własnej karty do rozegrania – ani marki, ani fabryki, ani zaplecza inżynierskiego, którym mogłaby wejść do tej gry na własnych warunkach. Rumunia ma Dacię, która właśnie dlatego, że od trzech dekad konsekwentnie broni segmentu tanich, prostych, solidnych aut, jest dziś jednym z niewielu europejskich graczy zdolnych realnie konkurować cenami z chińskimi producentami, zamiast tylko się przed nimi bronić cłami.

Polska ma tylko deweloperskie osiedle na miejscu dawnej fabryki i rosnący udział marek znad Jangcy na krajowych drogach. ©℗



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Piotr
Arak
główny ekonomista VeloBanku, adiunkt na Wydziale Nauk Ekonomicznych UW

eprasa.pl 28ea867565

Ten ogon ma dwa końce

Te zwierzęta budzą skrajne reakcje. Bywają towarzyszami, ale częściej są tępione lub wykorzystywane w laboratoriach. Oto historia długiej walki i dość nowej przyjaźni człowieka ze szczurem

Zofia

Brzezińska



Hector był białym szczurem. 22 lutego 1961 r. znalazł się na pokładzie rakiety Véronique AGI V24. Francuscy naukowcy postanowili wysłać go w lot suborbitalny, aby znaleźć odpowiedź na pytanie, jak żywy organizm zniesie podróż w przestrzeń kosmiczną. Przez następne osiem minut Hector był jednym z nieświadomych pionierów podboju kosmosu. Miał szczęście. W przeciwieństwie do większości zwierząt, które z woli człowieka odbyły podróż w przestrzeń kosmiczną – w tym m.in. do najsłynniejszego z nich, suczki Łajki – Hector powrócił na Ziemię cały i zdrowy. Dzięki niemu Francja stała się trzecim państwem (po USA i ZSRR), które wysłało żywe stworzenie w przestrzeń kosmiczną. Przez kilka miesięcy po swojej misji Hector cieszył się niemal statusem bohatera narodowego. Zaledwie pół roku później został uśpiony, aby naukowcy mogli poddać jego mózg szczegółowym badaniom.

Buszujący w spichlerzach

Chociaż życie Hectora nie było łatwe – z całą pewnością okres intensywnych treningów przed lotem w ośrodku badawczym, a później sam lot były dla niego źródłami ogromnego stresu – i tak miał więcej szczęścia niż wielu przedstawicieli jego gatunku, którzy zetknęli się z człowiekiem. Szczur towarzyszył człowiekowi od czasów wczesnej starożytności, chociaż często był przez niego mylony z myszami oraz innymi gryzoniami. Z czasów starożytnych zachowało się wiele tekstów przestrzegających przed „niszczycielami zboża" i wzywających ludność do starannego zabezpieczania magazynów oraz spichlerzy. Ponieważ jednak wszystkie odpowiedzialne za te zniszczenia zwierzęta określano mianem niszczycieli, nie możemy mieć pewności, które gatunki konkretnie miano na myśli. Przypuszcza się jednak, że były to częściej myszy i nornice niż szczury. Moment ściślejszego związania się tych ostatnich z człowiekiem historycy umieszczają raczej w średniowieczu, gdy nastąpiły znaczące zmiany urbanistyczne. Przede wszystkim ówczesne miasta miały charakterystyczną skondensowaną zabudowę i były pozbawione kanalizacji (która istniała w wielu miastach starożytnych, m.in. w Rzymie). Tak gęste skupiska ludności oraz generowane przez nie odpady nieuchronnie przyciągnęły szczury. Gryzonie te więc nie tyle „pojawiły się" w sąsiedztwie ludzi w średniowieczu, ile zaczęły po prostu występować w nim na masową skalę. Stworzona przez człowieka infrastruktura okazała się dla nich przepustką do mobilności. Rozwijał się handel morski i rzeczny, zboże i towary transportowano masowo – nierzadko ze szczurami w charakterze pasażerów na gapę na statkach i w workach zboża.

To w średniowieczu powstał zawód szczurołapa. W 1284 r. w niemieckim mieście Hameln doszło do tajemniczego zdarzenia. Z miasta zniknęła w niewyjaśnionych okolicznościach duża grupa dzieci. Legenda narosła wokół tego epizodu tłumaczyła nieszczęście rzekomą zemstą szczurołapa, który, nie otrzymawszy od mieszkańców pieniędzy za swoją pracę, w odwecie wyprowadził z miasta wszystkie dzieci. Ta opowieść świadczy o tym, że już w XIII w. społeczeństwo znało pojęcie człowieka wynajmowanego do pozbywania się szczurów.

Zwiastun zagłady

Chociaż krytyczne warunki sanitarne sprawiły, że różnego rodzaju zarazy trapiły ludzkość przez niemal całą epokę średniowiecza, niewątpliwie symbolem tego zjawiska stał się tragiczny rok 1349 – rok czarnej śmierci. Epidemia dżumy wybuchła ok. 1346 r. w środkowej Azji (być może w Chinach), skąd Jedwabnym Szlakiem najpierw dotarła na Krym, a później rozlała się na resztę Europy. Najwięcej chorych zmarło właśnie w 1349 r. Szacuje się, że zaraza doprowadziła do zgonu nawet 40–50 proc. ludności ówczesnej Europy. Spowodowała też nieodwracalne zmiany społeczne i kulturowe. Do wymarłych miast, które ze względu na zagęszczenie ludności ucierpiały najbardziej, napływali mieszkańcy wsi. Rodziły się nowe nurty religijne i mistyczne, gdyż dominowało przeświadczenie, że przyczyną katastrofy był gniew boży. Czarna śmierć nadała także nowe znaczenie silnie obecnemu w sztuce mediewistycznej motywowi danse macabre („taniec śmierci"), który istniał co prawda już wcześniej, lecz za sprawą zarazy stał się jeszcze bardziej popularny.

Ówcześni medycy, chociaż pozostawali raczej bezradni wobec zarazy i jej skutków, starali się wyjaśnić chorobę inaczej niż jako karę boską. Jedną z ważniejszych koncepcji było „morowe powietrze", według której choroba unosiła się w powietrzu. Bliższa prawdy okazała się teza, która powiązała chorobę ze szczurami – choć w rzeczywistości to nie same szczury ponosiły za nią bezpośrednią odpowiedzialność, lecz bytujące na nich pchły. Ludzie nie mogli jednak wtedy o tym wiedzieć, dlatego całą winę przypisano gryzoniom. Widziano przecież szczury kręcące się w pobliżu statków handlowych, po ulicach miast, a także żerujące na zwłokach zmarłych. To wystarczyło, aby nienawiść wybuchła na nieznaną dotąd skalę. Przeciwko szczurom wytoczono cały znany ludzkości arsenał – pułapki, trucizny (przeważnie ciemiernik, arsen i związki siarki), koty, a także... specjalne modlitwy, egzorcyzmy i zaklęcia. Z czasem zaczęto wytaczać szczurom prawdziwe procesy sądowe.

Oskarżeni z ogonami

Zjawisko procesów, w których w charakterze oskarżonych występowały zwierzęta, było niezwykłym fenome-

W drugiej połowie XX w. zaczęto wprowadzać przepisy dotyczące dobrostanu zwierząt laboratoryjnych oraz zasadę 3R (Replacement, Reduction, Refinement) nakazującą wykorzystywanie żywych zwierząt wyłącznie tam, gdzie jest to niezbędne, ograniczanie ich liczby i udoskonalanie metod badań, aby zminimalizować cierpienie

eprasa.pl 28ea867565



FOT. SEPIA TIMES/UNIVERSAL IMAGES GROUP VIA GETTY IMAGES

Sekretarz skarbu John „Jack" Robinson jako polityczny szczurołap. Akwaforta karykaturzysty Thomasa Rowlandsona, 1784 r.

nem historyczno-prawnym. Najwięcej odnotowano ich od XIV do XVI w. Natężenie takich przypadków często było zsynchronizowane z różnego rodzaju kryzysami – głodem czy epidemiami. Zjawisko występowało w niemal wszystkich krajach Europy. Zwierzęta, które poczyniły szkody w uprawach lub innej własności publicznej, podlegały z reguły jurysdykcji sądów kościelnych. Natomiast zwierzęta, które zabiły bądź zraniły człowieka, podlegały zazwyczaj władzy sądów świeckich. Procesy wytaczano zarówno poszczególnym osobnikom (najlepiej udokumentowany jest proces świni z Falaise, straconej w 1386 r. za zabicie dziecka; tutaj zachował się nawet dokument informujący o wynagrodzeniu kata), jak i całym grupom zwierząt. Do najczęstszych podsądnych w procesach kościelnych należała szarańcza (była regularnie karana ekskomuniką).

Pierwszy poważny proces przeciwko szczurom odbył się w 1522 r. w Autun we Francji, gdzie doszło do zniszczenia zbiorów jęczmienia. Gryzoniom przydzielono nawet adwokata – został nim wykształcony w Padwie młody, ambitny jurysta Barthélemy de Chasseneuz.

Pierwszym krokiem było formalne wezwanie oskarżonych do stawienia się przed trybunałem. Urzędnik sądowy udał się na rozstaje dróg i skrzyżowania w okolicach Autun, gdzie – donośnym, uroczystym głosem – odczytał akt wezwania. Opieczętowany dokument sporządzony po łacinie zaadresowano do szczurów zamieszkujących prowincję Autun, nakazując im stawienie się w wyznaczonym dniu przed trybunałem kościelnym w katedrze, aby odpowiedzieć na zarzut złośliwego zniszczenia plonów. Oskarżeni się nie zjawili, a Barthélemy de Chasseneuz zaczął dowodzić, że wezwanie nie zostało dostarczone w prawidłowy sposób, gdyż mogło nie dotrzeć do wszystkich szczurów zamieszkujących prowincję. Sąd zgodził się z tym argumentem i nakazał, aby przez najbliższe tygodnie wezwanie odczytywano z ambon wszystkich kościołów. Gdy gryzonie ponownie nie pojawiły się na rozprawie, adwokat wytłumaczył ich nieobecność. Według niego szczury nie mogły przybyć ze względu na... czyhające na nie koty. Dowodził, że dopóki sąd nie zapewni im formalnej ochrony przed każdym kotem na całej trasie z ich siedzib do katedry w Autun, nie może od nich wymagać stawiennictwa. Ponieważ nie było fizycznej możliwości, by sprostać tym wymaganiom, sąd sprawę umorzył, a sprytny obrońca, bazując na tym przypadku, napisał traktat o ekskomunice zwierząt i owadów („De excommunicatione animalium insectorum", 1531 r.).

Pupile arystokratek

Drugim po średniowieczu okresem, w którym szczur najmocniej zaznaczył swoją obecność w świecie człowieka, był XIX w. – czas rewolucji przemysłowej, która znów przemodelowała codzienność milionów ludzi. Nastąpił gwałtowny rozwój miast, powstawały fabryki, porty, kanały, a także nieuchronnie – dzielnice nędzy. W tych warunkach szczury znalazły doskonałą przestrzeń do życia.

Lawinowy wzrost szczurzych populacji w metropoliach takich jak Londyn, Paryż czy Nowy Jork stał się wręcz zatrważający. Wraz z nim pojawiły się pierwsze masowe deratyzacje. Najsłynniejszym szczurołapem XIX w. był Jack Black, który w latach 50. otrzymał nawet oficjalny tytuł Królewskiego Łapacza Szczurów (Royal Rat Catcher) na dworze królowej Wiktorii. W XIX w. narodziła się również okrutna rozrywka, tzw. rat-baiting, która polegała na tym, że schwytane szczury zamykano w jednym pomieszczeniu, a następnie przyjmowano zakłady, czyj terier zabije najwięcej z nich.

Jednak to właśnie podczas łapania zwierząt do tego procederu zaobserwowano, że wiele osobników ma nietypowe, przyciągające wzrok umaszczenie. Za najbardziej urodziwe uchodziły białe szczury, które od szczurołapów zaczęli kupować miłośnicy egzotycznych zwierząt, a także arystokratki poszukujące oryginalnych pupili. Krążyły plotki, że ogoniastych ulubieńców miała nawet sama królowa. Co do tego nie ma pewności, ale bez wątpienia wielką miłośniczką szczurów była ekscentryczna Mary Douglas, która w 1901 r. zaprezentowała swojego szczura na wystawie Aylesbury Town Show, gdzie zdobył on nagrodę Best in Show, co uznaje się za symboliczny początek zjawiska rat fancy w Wielkiej Brytanii.

Współpracownik mimo woli

Po sukcesie szczurka Mary Douglas w Wielkiej Brytanii nastąpiła fala popularności tych zwierząt. Doszło nawet do tego, że w 1912 r. klub National Mouse Club zmienił nazwę na National Mouse and Rat Club (klub miłośników myszy i szczurów). Ze zwierzęcia wyłącznie tępionego szczur stał się również stworzeniem hodowlanym i wystawowym, co było kolosalną zmianą.

Na początku XX w. zaczęto też prowadzić planową hodowlę do celów naukowych. Kluczowym momentem było wyprowadzenie pierwszych wsobnych (inbredowych) linii szczurów, dzięki czemu naukowcy mogli pracować na zwierzętach o niemal identycznym materiale genetycznym. To znacznie zwiększyło wiarygodność wyników badań. Pierwsza linia szczurów hodowanych specjalnie z myślą o badaniach naukowych – Wistar – do dziś pozostaje jedną z najczęściej wykorzystywanych w laboratoriach.

Szybko się okazało, że szczury mają wiele cech czyniących je wyjątkowo atrakcyjnymi obiektami badań. Są inteligentne i łatwo się uczą, dobrze zapamiętują, szybko się rozmnażają, mają krótki cykl życia, a wiele ich procesów fizjologicznych jest zbliżonych do ludzkich. Dzięki temu stały się podstawowym modelem w badaniach z zakresu m.in.: neurologii, psychologii, farmakologii, onkologii, kardiologii oraz endokrynologii. Jednocześnie ich powszechne wykorzystywanie wywołało dyskusję dotyczącą etycznego aspektu doświadczeń na zwierzętach. Już w drugiej połowie XX w. zaczęto wprowadzać coraz bardziej rygorystyczne przepisy dotyczące dobrostanu zwierząt laboratoryjnych oraz zasadę 3R (Replacement, Reduction, Refinement) nakazującą wykorzystywanie żywych zwierząt wyłącznie tam, gdzie jest to niezbędne, ograniczanie ich liczby i udoskonalanie metod badań, aby zminimalizować cierpienie. Dlatego, gdy w 1961 r. Hector wyruszał w swoją krótką podróż w kosmos, nie był już dla naukowców symbolem zarazy ani szkodnikiem ze spichlerzy. Był przedstawicielem gatunku, który przez kilkadziesiąt lat stał się jednym z najważniejszych współpracowników człowieka w laboratoriach.

Oczywiście szczur nigdy do końca nie pozbył się złej reputacji. W XX w. została ona jeszcze utrwalona przez niektóre produkcje filmowe. W „Zakochanym kundlu" (1955 r.) czy serialu „Zwierzęta z Zielonego Lasu" (1993–1995) szczur jest jednoznacznym antagonistą bohaterów. Dopiero film „Ratatuj" (2007 r.) przełamał tę konwencję, czyniąc szczura bohaterem pozytywnym oraz budzącym sympatię.

Dzisiaj coraz więcej ludzi przekonuje się, że szczur domowy – inteligentny, przyjacielski i lgnący do opiekuna – może być wspaniałym towarzyszem. Jednak wciąż na polu relacji człowiek–szczur jest wiele do zrobienia. W marcu tego roku fundacja Mushika rozpoczęła pierwszą ogólnopolską kampanię społeczno-edukacyjną pod hasłem „Jestem szczurem". Jej celem jest odejście od utrwalonego przez wieki stereotypu szczura jako symbolu brudu i zagrożenia, przedstawienie go w świetle współczesnej wiedzy naukowej, a także wyeliminowanie okrutnych metod deratyzacji, takich jak pułapki lepowe czy niektóre trucizny. Twórcy kampanii przekonują, że skuteczna deratyzacja nie powinna się opierać wyłącznie na eksterminacji. Zamiast tego postulują działania prewencyjne, takie jak uszczelnianie budynków czy ograniczanie zostawiania pożywienia i odpadów w przestrzeni publicznej, traktując faktyczną deratyzację jako środek ostateczny, przeprowadzany koniecznie w sposób humanitarny. ©℗

eprasa.pl 28ea867565

Idee

Łuskina, Rzewuski, Braun. Obrońcy Targowicy

W historii polskiej myśli politycznej już tego próbowano. Obyczaje i religię, wieś spokojną i pokój przed powstańcami i podżegaczami, masonami i Żydami, modernizatorami i ateuszami chronić miały skrzydła Rosji

Wojciech
Stanisławski

Ach, ksiądz Łuskina! Celebryta epoki stanisławowskiej nie był może typem labusia (zapomniane dziś spolszczenie francuskiego „l'abbé", którym w XVIII w. określano „fajnoksięży", chętnie sięgających po peruczkę i wolteriańskie koncepty), nie sposób go jednak uznać za nieuka rodem z „Monachomachii". Po ukończeniu Akademii Wileńskiej, gdzie wykazał się talentem do fizyki i astronomii, studiował je dalej w Wiedniu i Rzymie. W 1759 r. zjechał do Warszawy, gdzie objął obowiązki nauczyciela matematyki, fizyki i filozofii w Collegium Nobilium. Szczególny nacisk kładł na przeprowadzane w pracowniach eksperymenty.

Ksiądz zapatrzony w Wenerę

Z Paryża przywiózł niemal kompletne wyposażenie obserwatorium astronomicznego i zadawał szyku, przeprowadzając pokazy. Sławą zaczął się cieszyć szczególnie po zorganizowaniu na górnej galerii Biblioteki Załuskich – jak piszą pamiętnikarze, „w asyście licznie zgromadzonych dam i kawalerów" – publicznej obserwacji przejścia Wenus przez tarczę słoneczną. Wenus pojawia się między Słońcem a Ziemią raz za razem co osiem lat, po czym na następne takie wydarzenie trzeba czekać ponad wiek! W XXI w. stało się to już dwukrotnie (2004, 2012), następny raz w 2117 r.

XVIII-wieczni astronomowie czekali więc na świt 6 czerwca 1761 r. tym niecierpliwiej, że długość tranzytu miała pomóc w określeniu odległości Ziemi od Słońca. Czekał i ksiądz Łuskina, zerkał na ciemny kontur Wenus i mierzył czas od 3.51 do 8.00 rano, po czym opublikował przełożoną również na francuski relację „Woliera w słońcu, czyli obserwacya astronomiczna przejścia planety Wenery przez płaszczyznę słoneczną...". Ba, w kilku broszurach skutecznie wyśmiał konkurenta, ks. Duńczewskiego z Akademii Zamojskiej, który próbował podważyć precyzję obserwacji warszawskich.

Do podręczników historii Polski ksiądz Łuskina trafił jednak nie jako ksiądz intelektualista, lecz jako twórca i wydawca jednego z pierwszych polskich czasopism, a mianowicie ukazującej się od 1774 r. „Gazety Warszawskiej". Ambicje sprawowania rządu dusz i forsowania królewskiego programu reform żywił wówczas „Monitor", literaturą zajmowały się „Zabawy Przyjemne i Pożyteczne", „Gazeta Warszawska" jednak zdecydowanie zajmowała miejsce na podium.

Mediaworker z Orłem i Pogonią

Skąd astronom i eksperymentator w stanisławowskiej branży medialnej? Przesądziła o tym decyzja papieża Klemensa XIV, podjęta za sprawą splotu intryg, nacisku hiszpańskich Burbonów i rywalizacji domów zakonnych, która wstrząsnęła ówczesną Europą: jesienią 1773 r. na mocy papieskiego breve zostały rozwiązane struktury zakonu jezuitów. Dla tysięcy jego członków oznaczało to konieczność znalezienia sobie nowego miejsca w życiu. Stefan Łuskina zareagował rzutko: z prasą zetknął się już wcześniej, współpracując z wydawanymi przez ks. Franciszka Bohomolca „Wiadomościami Warszawskimi". Był znany u dworu, od Stanisława Augusta uzyskał więc w listopadzie 1773 r. przywilej prasowy, czyli monopol na wydawanie w Koronie gazet o charakterze komercyjnym.

Od stycznia 1774 r. „Gazeta Warszawska" ukazywała się w środy i soboty; staroświecka z wyglądu (w nagłówku figurował potężny herb Rzeczypospolitej – dwa Orły, dwie Pogonie, pośrodku zaś herb panującego, czyli Ciołek), formatem niedaleka była od dzisiejszej „Angory": w sporej części składała się z przedruków z najważniejszych czasopism europejskich, od „Gazette de France" po biuletyny z Niderlandów i Hamburga. Do tego: pogłoski i plotki, elegancko zwane „doniesieniami", dużo anonsów reklamujących nowe książki, fryzjerów i towary oraz publicystyka redaktora naczelnego.

Stąd pewnie źródło dwuznacznej sławy, jaka otacza księdza Łuskinę. Żal i gniew z powodu rozwiązania zakonu, do którego wstąpił jako 17-latek, nigdy go nie opuściły. Stale wracał do intryg, które jego zdaniem stały za nieszczęsną decyzją Klemensa XIV (paradoks: wcześniej to jezuitów oskarżano o snucie intryg i spisków na rzecz Stolicy Apostolskiej!). Stale krytykował francuskich bezbożników. A przede wszystkim z rosnącą atencją pisał o dwojgu monarchach, którzy – bynajmniej nie z żarliwej wiary – postanowili zlekceważyć papieskie breve i wspierać w swoich państwach rozwój zakonu jezuitów. Monarchowie ci to Fryderyk II Pruski oraz Katarzyna II.

Dopóki był to prywatny feblik księdza redaktora, tolerowano go, dogryzając mu najwyżej w kolejnych wierszowanych fraszkach. „A ty widzę, strawnego żołądka Łuskino! / Łają cię, a ty wszystko drwiącą zbywasz miną. / Już ci nawet dawali zdrowe ostrzeżenia, / Że pochlebiasz w gazetach, że łżesz bez sumienia" – podsumowywał go anonimowy autor w 1787 r. Łuskina nie stępił pióra, odpowiadał kolejnymi fraszkami – i tak przekomarzano się przez kilkanaście lat.

O, nędzny pochlebniku!

Wszystko skomplikowało się i zaognio w dniach Sejmu Wielkiego, wielkich uniesień patriotycznych i narastającej groźby interwencji sąsiadów. Łuskina, sporo po „60", nie zamierzał rezygnować z dawnych przywiązań, dodatkowo zaś wstrząśnięty był doniesieniami z Paryża, gdzie podniesiono rękę na monarchę. Zgorszony dokonującymi się zmianami coraz częściej zwracał się przeciw opinii publicznej, czerpał satysfakcję z tego, co dziś nazywamy kontrarianizmem – pisania za wszelką cenę pod prąd. Musiały go też boleć złośliwości, a przede wszystkim sukcesy konkurencji. Monopolu prasowego nie udało się utrzymać; „Gazeta Narodowa i Obca", wydawana od 1791 r. przez stronnictwo reformatorów, rozchwytywana była na ulicach.

W grudniu 1792 r., pół roku po przegranej wojnie polsko-rosyjskiej, Łuskina publikuje swój adres (list otwarty) do Generalności Konfederacji Obojga Narodów, czyli do targowiczan. „O, nędzny pochlebniku! o ty dusza podła, / Całuj rękę, która nas do zguby przywiodła" – odpowiada anonimową fraszką warszawska ulica. Nie ma już prztyczków, jest nienawiść. Pół roku później, w sierpniu 1793 r., dawny astronom umiera rozgoryczony, do końca zapatrzony w gwiazdę Katarzyny Wielkiej. Grób „Don Kichota XVIII-wiecznej prasy polskiej" (jak określał go Jerzy Łojek, jeden z najwybitniejszych znawców polskiego oświecenia) został zapomniany bodaj już w miesiącach insurekcji kościuszkowskiej.

Syberyjsko chłodny rozsądek

Wspomniałem księdza Łuskinę i trajektorię jego myśli, kartkując najnowszą książkę Grzegorza Brauna – opublikowany pod koniec lipca pierwszy tom wywiadu rzeki, zatytułowany „Polskie biesy. Tom 1 – XVIII w. Wrogie przejęcie i zbrodnie założycielskie". Rozmówcą polityka jest Jan Tatura – bibliografom znany dotąd jako ilustrator licznych książek Sławomira Kopra i biblijnych porad wellbeingowych wydawanych przez oficynę Fronda, można więc zasadnie uznać Brauna za nadającego ton tej rozmowie. Inwencja badawcza pana Jana dochodzi do głosu głównie w licznych fragmentach, w których ochoczo przelicza rozmaite kwoty wypłacane w XVIII-wiecznych walutach na dzisiejsze złote, każdorazowo, jak deklaruje, „przy pomocy sztucznej inteligencji". ChatGPT jako cinkciarz i autorytet naukowy w jednym – tylko tak dalej!

„Polskie biesy" to pozycja frapująca przede wszystkim przez to, że łączy bardzo różne poziomy i tony refleksji. Poważny ton, przyjęty przez autora w „Zagajeniu" (wiemy nie od dziś, że Grzegorz Braun zna i lubi wysmakowane, panie dzieju, archaizmy: „przeto" i „drzewiej", „atoli" i „rzekomo" szeleszczą w jego słowniku niczym w dziełach zebranych Kraszewskiego skanowanych na potrzeby AI), wywodzi się z bardzo ważnego w polskiej myśli politycznej i niewystarczająco w niej reprezentowanego nurtu trzeźwej kalkulacji, rachunku sił i daniny krwi, sprzeciwu wobec pustych, a niesłychanie kosztownych dla wspólnoty gestów.

Można uznać, że taka refleksja powinna być punktem wyjścia dla każdego męża stanu i jako taka nie powinna właściwie stanowić wyróżnika jakiegoś obozu, lecz fundament politycznego myślenia. W polskich warunkach, szczególnie w XIX w., w sytuacji zakorzenienia w etosie szlacheckim i zaborczego pata, o głos rozsądku nie było jednak łatwo. Z reguły też formułowały go środowiska i stanem, i wiekiem dalekie od romantycznej gorączki: niechętne spiskom podchorążych elity Królestwa Polskiego, obawiające się rozpalonych głów w przededniu powstania styczniowego środowisko „białych" czy badający możliwości kompromisu z Petersburgiem Aleksander Wielopolski. Przede wszystkim jednak – galicyjskie stronnictwo Stańczyków, surowo oceniające polską przeszłość i przez ponad ćwierć wieku skutecznie sprawujące zarówno rząd dusz, jak i realną władzę w autonomicznej Galicji.

eprasa.pl 28ea867565



FOT. UNIVERSAL HISTORY ARCHIVE/UNIVERSAL IMAGES GROUP VIA GETTY IMAGES

„Wieszanie zdrajców", obraz Jana Piotra Norblina, 1794 r. Na szubienicy zawisły malarskie portrety przywódców konfederacji targowickiej

Ich dokonania składają się na historię polskiej orientacji „zachowawczej", z wyraźnym ostrzem antyinsurekcyjnym. U progu XX w. te obawy – o „zbyteczną daninę krwi", o pragnienie „moralnego zwycięstwa", które przynosi realną klęskę – zaczęła jednak w sposób najbardziej przekonujący wyrażać Narodowa Demokracja, przede wszystkim w takich tekstach założycielskich jak „Myśli nowoczesnego Polaka" Romana Dmowskiego i „Egoizm narodowy wobec etyki" Zygmunta Balickiego.

Nie oznacza to oczywiście, że każda refleksja nad rachunkiem sił, każdy odruch obawy przed zbyt daleko idącymi stratami jest endecki. W wielkiej debacie o szansach i kosztach Powstania Warszawskiego decyzję o jego wybuchu krytykowali również ludzie bardzo dalecy od nurtu myśli narodowej. Niemniej apele o rozsądek, niechęć do zrywów współcześnie wiążą się w polskiej myśli politycznej przede wszystkim z refleksją endecką. W tym więc sensie Grzegorz Braun nawiązuje do klasyków, i to dość radykalnie, skoro już na pierwszej stronie książki pisze o „tradycjach narodowego harakiri", „patriotycznej nirwanie" i „autokonsolacji przez egzaltację". Dalej jest już tylko ciekawiej. Reformatorzy i insurekcjoniści to w najlepszym razie egzaltowani histerycy, znacznie częściej jednak – czasem nieświadomi, a czasem świadomi – agenci potężnych, złowrogich mocy: obcych dworów, na czele z Londynem, oraz wszechmocnej i wszechobecnej masonerii.

W tej ostatniej monomanii Grzegorz Braun również pozostaje wierny obozowi politycznemu, którego barwy postanowił odświeżyć. Historyczna Narodowa Demokracja również sięgnęła po lęki antymasońskie. Nastąpiło to, co prawda, nieco później niż zwrot antyinsurekcyjny – jeszcze przed I wojną światową Roman Dmowski traktował loże masońskie Zachodu jako jeden z wielu elementów ówczesnego życia politycznego, który należy brać pod uwagę lub wręcz próbować doń dotrzeć. Do zaostrzenia alergii doszło po roku 1918. Na łamach „Dziedzictwa" (powieści wydanej w 1931 r. pod pseudonimem Kazimierz Wybranowski) czy zbioru szkiców politycznych „Przewrót" (1934) masoni hulają po Polsce bezkarnie, przekupując, mordując, bezczeszcząc i uwodząc, kogo popadnie. Niemal tak, jak na kartach „Polskich biesów", gdzie każdy niemiły Braunowi reformator – czy to Kołłątaj, czy Scipione Piattoli – jest jeśli nie wolnomularzem czy iluminatem, to ich płatnym sługą.

Antymasońska myszka

Rozczulające, że aby wskazać te masońskie szpony, Braun posługuje się głównie dwoma narzędziami. Jednym są obficie przezeń cytowane pisma ks. Augustina Barruela – byłego wolnomularza, który poświęcił starość na skruchę i opisywanie masońskich spisków – niewznawiane w Polsce, z jednym wyjątkiem, od roku 1817. Ileż samozaparcia wymagać musiała lektura tych starodruków i uznanie ich za łom, za pomocą którego można podważyć 200 lat historiografii! Drugim narzędziem jest ulubiony trick entuzjastów spiskowych wizji historii, czyli niefalsyfikowalność wywodów – jeśli nie sposób ukazać któregoś z ogniw masońskiej intrygi, to dlatego że została tak przebiegle ukryta przez swoich twórców...

Wspomnieliśmy dotychczas o dwóch wątkach tradycji endeckiej reanimowanych w najnowszej książce Grzegorza Brauna. Jeden, czyli programowa niechęć do postawy insurekcyjnej, choć niemiły wszystkim przywiązanym do tradycji powstańczej, ma prawo obywatelstwa w polskiej myśli politycznej. Drugi, czyli manię prześladowczą skupioną na spiskach wolnomularzy, uznać by można za ekscentryzm, gdyby nie obawa, że w czasach płaskoziemców może paść na żyzny grunt.

Dalej zaczyna się tradycyjne bestiarium, czyli motywy znane zazwyczaj z tanich kserokopii z szarymi smugami, z wpadających w autobusie w ucho rozmów chłopaków wracających z wiecu, z odległych zakamarków internetu. Tyle że, jak przystało na Brauna, podrasowane. Tam, gdzie entuzjaści ujawniania żydowskiego pochodzenia swoich adwersarzy zwykli pisać np. „Lech Wałęsa (Lejba Kahane)", Braun pisze „Benjamin Lewartow (Bronisław Geremek)". Panorama świata politycznego doby stanisławowskiej przypomina relację z areny rzymskiej, na której odbywają się walki dzikich zwierząt: każdy chce zagryźć każdego, klika Kołłątaja pragnie wyrugować frakcję Poniatowskich, bracia Potoccy biorą funty od Londynu.

Lektura kilku stron wystarczy, żeby poczuć odrazę do tamtego świata pełnego cyników, manipulatorów i tchórzy. Jedna tylko frakcja zasługuje na życzliwsze spojrzenie. Owszem, też oglądają się na obcy dwór, też są pełni słabości, lecz w większości – po prostu naiwni. Szczerze przywiązani do wiary i tradycji, pragnący ocalenia polskich wolności i obyczaju i w pragnieniu tym zwiedzeni przez zimnych graczy z Petersburga. A jakby tego było mało, oczernieni przez trwającą ponad dwa wieki nagonkę! Tak, to oni – targowiczanie.

Dyktando jenerała Popowa

Zwykle, myśląc o paradoksie, jakim jest odwołanie się w obronie „dawnych wolności" do Rosji, przywołujemy w pierwszym odruchu konfederację targowicką. Ta jednak w pierwszych swoich dniach była jedynie przykrywką dla konspiracji grupy magnatów. Można było antydatować akt założycielski konfederacji na 14 maja 1792 r., w rzeczywistości jednak spisano go przecież pod koniec kwietnia w Petersburgu pod dyktando jenerała Wasilija Popowa, szefa kancelarii księcia Potiomkina.

Przez dwa lata istnienia dorobiła się Targowica swoich publicystów, ideologów i szczerych entuzjastów. Znacznie jednak ciekawsza, a mniej znana, jest formacja powstała pół wieku później, która odegrała kapitalną rolę w historii literatury polskiej, zwana dość tajemniczo koterią lub po prostu pentarchią petersburską.

Zwykle wymienia się jako wchodzących w skład założycielskiej piątki Józefa Przecławskiego, wydawcę „Tygodnika Petersburskiego", biskupa Ignacego Hołowińskiego, teologa i tłumacza, neurotycznego Ludwika Sztyrmera, twórcę polskiej „literatury niesamowitej" i horrorów psychologicznych oraz najwybitniejszego polskiego krytyka literackiego I połowy XIX w. Michała Grabowskiego. Inni badacze skłonni są podmieniać Sztyrmera na Gustawa Olizara, kwestionują rolę Hołowińskiego. Wszyscy jednak są zgodni, że sprężyną tej orientacji, człowiekiem największej energii i najświetniejszego pióra był Henryk hrabia Rzewuski – klasyk polskiej powieści historycznej, twórca i kodyfikator gatunku znanego jako „gawęda szlachecka", przyjaciel Mickiewicza, urzędnik, wydawca i najbardziej konsekwentny rzecznik projektu całkowitego podporządkowania się przez Polaków Rosji jako jedynej szansy na ocalenie dawnego ładu społecznego, obyczaju i wiary.

Maturzyści, a bywa, że i absolwenci polonistyki znają go przede wszystkim jako autora „Pamiątek Soplicy" – opowieści o świecie szlachty Wielkiego Księstwa z pierwszoplanową postacią Karola Radziwiłła „Panie Kochanku". Nazwisko narratora tych opowieści – Seweryna Soplicy, cześnika parnawskiego – nieprzypadkowo brzmi znajomo. To pod wpływem opowieści Rzewuskiego Mickiewicz napisał w takim kształcie swój arcypoemat. „Listopad" (1845), późna powieść Rzewuskiego, jest zaś uważana za rzecz dorównującą „Trylogii".

Robaczywi filareci

Równie istotny jest jednak dorobek ideowy Rzewuskiego – gorąca niechęć do wszelkiego rodzaju „nowinek": modernizacji, masonerii, zrównania – horribile dictu! – stanu trzeciego i Żydów ze szlachtą, rozkwitających na jego oczach romantycznych konspiracji. „Robactwem są pokątne stowarzyszenia, chcące zatrzymać żywot społeczny, ulotniony z dostojnego ciała (...) Będą to z początku Filarety, Promieniści, potem związki patriotyczne, Kosynierzy i Templariusze" – napisał w drugim, po „Pamiątkach..." najgłośniejszym, dziele „Mieszaninach obyczajowych". W tym napisanym w formie gawędy eseju korzył się przed bóstwem konieczności historycznej. Skoro proces dziejowy skazał dawną Polskę na zagładę, należy się z tym pogodzić, ocalając to, co najistotniejsze: narodowego ducha, obyczaj, bon moty Karola Radziwiłła... Można to było zrobić i wcześniej, niestety: masoni, przechrzty i szaleńcy z trójbarwnymi wstążkami ▷

eprasa.pl 28ea867565

w czapkach i szablami w pięściach zniszczyli Rzeczpospolitą. Próba jej ratowania przez targowiczan została podjęta zbyt późno!

Henryk Rzewuski zdołał przekonać do tej myśli wyżej wspomnianych intelektualistów, pochodzących z ziem oderwanych od Rzeczypospolitej już podczas pierwszego rozbioru i niemal nietkniętych reformami epoki stanisławowskiej, gdzie w największym stopniu zachował się dawny obyczaj i porządek społeczny, a Petersburg (do czasu) mógł się wydawać jego gwarantem, utrzymując dawną tytulaturę, instytucje sejmików szlacheckich i sądów ziemskich.

Mimo to potępianie ekscesów w rodzaju Konstytucji 3 maja i niedawnego powstania listopadowego – tego było już trochę za wiele. Projekty koterii petersburskiej nie zyskały masowego poparcia wśród ziemiaństwa Kresów. Również jednak dlatego, że po drugiej stronie brakowało partnera. „Tygodnik Petersburski" borykał się z cenzurą. Michał Grabowski za swój list do hrabiego Juliusza Stutyńskiego, asystenta kijowskiego gubernatora Dmitrija Bibikowa, w którym wobec kresu polskich dążeń niepodległościowych proponował powołanie panslawistycznego miesięcznika „Sławianin", został dotknięty ostracyzmem, a miesięcznik i tak nie powstał.

Kamień milowy, myśl zaprzeczna

Rzewuski – naprawdę jeden z najzdolniejszych prozaików polskich XIX w.! – od roku 1851 pozostawał w służbie feldmarszałka Iwana Paskiewicza, namiestnika b. Królestwa Polskiego, w kolejnych powieściach (jak „Pamiętniki Bartłomieja Michałowskiego") dokonując rehabilitacji konfederacji targowickiej. Emerytury od Paskiewicza i tak nie dostał. Zdążył jeszcze potępić powstańców styczniowych, nim zmarł, zadłużony, w swoim majątku w Cudnowie w lutym 1866 r. „Ugoda ma sens wtedy, gdy obie strony uznają się za partnerów. Nie ma mowy o ugodzie z potęgą, która żadnych obcych wartości honorować nie zamierza, wówczas może mieć miejsce jedynie kapitulacja, apostazja od własnej ojczyzny" – podsumował jego dorobek pisarz i historyk idei Wojciech Karpiński w zbiorze szkiców „Cień Metternicha".

Powtórzmy: w historii polskiej myśli politycznej próbowano i takiego kierunku: obrony obyczajów i religii, wsi spokojnej i pokoju. Przed powstańcami i podżegaczami, masonami i Żydami, modernizatorami i ateuszami chronić zaś miały puszyste, czarne skrzydła Rosji.

Kilka kroków poza już wspomnianymi postawili na tym szlaku choćby Wacław Jabłonowski, zapomniany dziś panslawista z czasów Wielkiej Emigracji, ziemianie polscy z ziem litewskich, którzy w 1904 r. w nadziei na odwilż wzięli udział w odsłonięciu pomnika Katarzyny II w Wilnie (za co zyskali pogardliwe miano „kataryniarzy"), czy rzecznik autonomii ziem polskich w granicach Cesarstwa Rosyjskiego, czynny pod koniec XIX w. w Petersburgu adwokat Włodzimierz Spasowicz. W wieku XX również nie brakowało podobnych usiłowań. Nie sposób już było marzyć wprost o kontuszu, zawsze jednak można się było gorszyć się moderną.

Kamieniem milowym na tym szlaku były próby może nie gloryfikacji, ale usprawiedliwienia inicjatyw targowiczan: naiwnych, źle może kalkulujących, ale kierujących się przecież zasadniczo dobrymi intencjami. Zdecydowali się na ten krok ksiądz Łuskina i Henryk hrabia Rzewuski. Dziś w ich ślady – w swojej książce i w praktyce politycznej swojej formacji – idzie Grzegorz Braun. ©℗

KOMUNIKAT

Wyciąg z ogłoszenia o III ustnym przetargu ograniczonym na sprzedaż prawa własności nieruchomości obejmującą niezabudowaną działkę nr 884, obręb Sośnica, położoną na przy ul. Limanowskiego w Gliwicach.

PREZYDENT MIASTA GLIWICE INFORMUJE

że na tablicy ogłoszeń Urzędu Miejskiego w Gliwicach, przy ul. Zwycięstwa 21 (parter) i ul. Jasnej 31A (parter), na stronie internetowej miasta (gliwice.eu) oraz w Biuletynie Informacji Publicznej (bip.gliwice.eu) zostało podane do publicznej wiadomości ogłoszenie o III ustnym przetargu ograniczonym na sprzedaż prawa własności nieruchomości obejmującej niezabudowaną działkę nr 884, obręb Sośnica. Ponadto wyciąg z ogłoszenia został zamieszczony w prasie lokalnej („Miejskim Serwisie Informacyjnym – Gliwice") oraz w prasie ogólnopolskiej („Dzienniku Gazecie Prawnej").

I ustny przetarg ograniczony odbył się 14 kwietnia 2026 r. i został zakończony wynikiem negatywnym.
II ustny przetarg ograniczony odbył się 4 sierpnia 2026 r. i został zakończony wynikiem negatywnym.

1. **Dane ewidencyjne:** działka nr 884 o pow. 0,0932 ha, obręb Sośnica, identyfikator nr 246601_1.0051.884, użytek: Bp – zurbanizowane tereny niezabudowane lub w trakcie zabudowy.
2. **Położenie i opis:** działka nr 884, obręb Sośnica, położona jest w Gliwicach przy ul. Limanowskiego. Działka ma kształt regularny, stanowi teren o znacznym pochyleniu w kierunku północnym, częściowo utwardzony, w pozostałej części porośnięty drzewami i krzewami. Sąsiedztwo nieruchomości stanowi głównie zabudowa mieszkaniowa wielorodzinna i usługowa.
   Na działce nr 884, od strony ul. Limanowskiego, znajduje się infrastruktura oświetleniowa, tj. słupy i kable elektroenergetyczne własność Tauron Nowe Technologie S.A. oraz oprawy oświetleniowe – własności Miasta Gliwice. Przy sprzedaży przedmiotowej nieruchomości nabywca zobowiązany będzie do ustanowienia na rzecz każdoczesnego właściciela działki nr 1921, obręb Sośnica (własność Miasta Gliwice), nieodpłatnej, nieograniczonej w czasie służebność gruntowej umożliwiająca swobodny dostęp do urządzeń oświetleniowych w celu zapewnienia prawidłowej eksploatacji i konserwacji urządzeń oświetleniowych. Powierzchnia służebności ok. 141 m^2.
   Sieć wodociągowa, gazowa, ciepłownicza kanalizacji sanitarnej, kanalizacji deszczowej i telekomunikacyjna w pobliżu działki. Zgodnie z mapą zasadniczą na działce nie ma zlokalizowanej kanalizacji deszczowej oraz sieci wodno-kanalizacyjnej stanowiącej własność Miasta Gliwice.
   Od strony wschodniej fragment nieruchomości stanowi dojazd do nieruchomości obejmujących działki nr 888 i 889, obręb Sośnica – dział III księgi wieczystej prowadzonej dla działki nr 884 zawiera wpisy służebności drogi koniecznej na rzecz każdoczesnych właścicieli działek nr 888 i 889. Dział IV księgi wieczystej jest wolny od wpisów.
   Na przedmiotowej działce mogą wystąpić inne niezinwentaryzowane sieci, za które będzie odpowiadał przyszły nabywca. W granicach nieruchomości może przechodzić sieć drenarska.
   Skomunikowanie działki nr 884, obręb Sośnica, winno odbywać się do drogi publicznej ulicy Limanowskiego, nowym zjazdem. Niemożliwe jest zachowanie miejsc postojowych utwardzonych obecnie na przedmiotowym terenie, gdyż dojazd do nich odbywa się przez chodnik.
3. **Przeznaczenie nieruchomości i sposób jej zagospodarowania:** działka nr 884, obręb Sośnica, położona jest na terenie, dla którego od 4 września 2010 r. obowiązuje miejscowy plan zagospodarowania przestrzennego miasta Gliwice dla obszaru obejmującego dzielnicę Sośnica – północ (uchwała nr XXXV/1062/2010 z dnia 10 czerwca 2010 r.).
   W planie tym działka nr 884, obręb Sośnica, znajduje się na terenie oznaczonym symbolem:
   02 MWn – co oznacza: **tereny nowej zabudowy mieszkaniowej wielorodzinnej, które zaliczone zostały do terenów nowej zabudowy i zagospodarowania.**
4. **Tryb przetargu:** przetarg ograniczony jest do właścicieli/użytkowników wieczystych działek o nr 883, 885 i 890, obręb Sośnica. Wybór formy przetargu ograniczonego do wyżej wymienionych podmiotów następuje z uwagi na brak możliwości samodzielnego zagospodarowania działki nr 884, obręb Sośnica, zgodnie z zapisami miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego. Lista osób zakwalifikowanych do uczestnictwa w przetargu zostanie wywieszona na tablicy ogłoszeń w siedzibie Urzędu Miejskiego w Gliwicach oraz w Biuletynie Informacji Publicznej nie później niż dzień przed wyznaczonym terminem przetargu. Wpłata wadium jest równoznaczna ze zgłoszeniem uczestnictwa w przetargu.
   Weryfikacja osób uprawnionych do uczestnictwa w przetargu zostanie dokonana przez komisję przetargową na podstawie elektronicznego wypisu z księgi wieczystej wg stanu na dzień 28 października 2026 r. W przypadku gdy zapisy księgi wieczystej nie odzwierciedlają stanu faktycznego, uczestnik zobowiązany jest dostarczyć dokumenty, które potwierdzą jego uprawnienie do udziału w przetargu ograniczonym w terminie do 27 października 2026 r. do siedziby Wydziału Gospodarki Nieruchomościami Urzędu Miejskiego w Gliwicach przy ul. Jasnej 31A.
5. **Cena wywoławcza brutto: 576 000,00 zł.** Cena zawiera 23% podatek VAT zgodnie z ustawą z 11 marca 2004 r. o podatku od towarów i usług (t.j. Dz.U. z 2025 r., poz. 775 z późn. zm.). Minimalne postąpienie: 5760,00 zł.
6. **Wadium: 57 600,00 zł** należy wnieść do **27 października 2026 r.** Datą wniesienia wadium jest data uznania na rachunku bankowym Miasta Gliwice.
7. **Termin i miejsce przetargu: 2 listopada 2026 r. o godz. 10.00,** siedziba Wydziału Gospodarki Nieruchomościami Urzędu Miejskiego w Gliwicach, ul. Jasna 31A, sala 105 (I piętro).
8. Podpisanie notarialnej umowy kupna-sprzedaży nastąpi do 2 grudnia 2026 r. Dodatkowe informacje na temat warunków przetargu można uzyskać pod numerami tel. 32/338-64-11, 32/338-64-09, 32/338-64-41, 32/338-64-12.

KOMUNIKAT

OBWIESZCZENIE WOJEWODY WIELKOPOLSKIEGO z 24 sierpnia 2026 r.

Na podstawie art. 8 ust. 1 pkt 3 w związku z art. 38 pkt 1 lit. zh ustawy z dnia 24 kwietnia 2009 r. o inwestycjach w zakresie terminalu regazyfikacyjnego skroplonego gazu ziemnego w Świnoujściu (Dz.U. z 2025 r. poz. 1222) - zwanej dalej: ustawą,

zawiadamiam

o wszczęciu postępowania o ustaleniu lokalizacji inwestycji towarzyszącej inwestycjom w zakresie terminalu regazyfikacyjnego skroplonego gazu ziemnego w Świnoujściu na rzecz GAZ-SYSTEM S.A. dla zadania pn. „„Budowa sieci gazowej DN100 wraz z układem włączeniowym, kontenerem AKPIA, drogą dojazdową, zagospodarowaniem terenu oraz rozbiórką i budową ogrodzenia przy ul. Dożynkowej w Łubnicy", na działce nr 573/2 obręb 0003 Łubnica oraz 203/2 obręb 0002 Gradowice, w ramach zadania "Przyłączenie Biometanowni Agen Ruchocice"", w zakresie działek oznaczonych w ewidencji gruntów i budynków jako:

- w wykazie w nawiasach podano oznaczenie księgi wieczystej.

Powiat grodziski,
Gmina Wielichowo,
Jednostka ewidencyjna: 300505_5, Wielichowo – obszar wiejski,
Obręb 0002 Gradowice,
działki o nr ewid.: 200/1 (brak), 203/1 (PO1S/00014687/6), 203/2 (PO1S/00014687/6);
Obręb 0003 Łubnica,
działka o nr ewid.: 573/3 (PO1S/00060256/3);

Jednocześnie zawiadamiam, że zgodnie z art. 49 § 2 ustawy z dnia 14 czerwca 1960 r. - Kodeks postępowania administracyjnego (Dz.U. z 2025 r. poz. 1691) - zwanej dalej: Kpa, w związku z art. 8 ust. 1 pkt 3 ustawy, zawiadomienie stron postępowania uważa się za dokonane po upływie czternastu dni od **25 sierpnia 2026 r.,** tj. dnia, w którym nastąpiło publiczne ogłoszenie poprzez obwieszczenie w Wielkopolskim Urzędzie Wojewódzkim w Poznaniu i właściwym miejscowo urzędzie gminy, na tablicach ogłoszeń i w Biuletynie Informacji Publicznej, a także w prasie ogólnopolskiej.

W przypadku gdy po dokonaniu niniejszego zawiadomienia nastąpi:
1) zbycie własności lub prawa użytkowania wieczystego nieruchomości objętej wnioskiem o wydanie decyzji o ustaleniu lokalizacji inwestycji towarzyszącej inwestycji w zakresie terminalu,
2) przeniesienie wskutek innego zdarzenia prawnego własności lub prawa użytkowania wieczystego nieruchomości objętej wnioskiem o wydanie decyzji o ustaleniu lokalizacji inwestycji towarzyszącej inwestycji w zakresie terminalu
   – nabywca, a w przypadku, o którym mowa w pkt 1, nabywca i zbywca, są obowiązani do zgłoszenia właściwemu wojewodzie danych nowego właściciela lub użytkownika wieczystego.

Niedokonanie powyższego zgłoszenia i prowadzenie postępowania bez udziału nowego właściciela lub użytkownika wieczystego nie stanowi podstawy do wznowienia postępowania.

Zgodnie z art. 10 Kpa, strony postępowania lub ich przedstawiciele i pełnomocnicy mogą zapoznać się z aktami sprawy w Wielkopolskim Urzędzie Wojewódzkim w Poznaniu, Wydział Infrastruktury, Al. Niepodległości 16/18, pok. 105 bud. C, (tel.: 61 854 12 89; e-mail: mkossakowska@poznan.uw.gov.pl; godziny obsługi klientów: poniedziałek, środa, piątek od 8:30 do 15:00; wtorek, czwartek od 12:00 do 15:00, w celu zapewnienia sprawnego przebiegu obsługi, uprzejmie proszę o wcześniejsze uzgodnienie terminu wizyty), a także mają prawo wypowiedzieć się co do zebranych dowodów i materiałów oraz zgłoszonych żądań, jak również składać ewentualne uwagi.

Mapa przedstawiająca granice terenu objętego wnioskiem zostanie zamieszczona wraz z obwieszczeniem **25 sierpnia 2026 r.** na stronie internetowej: www.poznan.uw.gov.pl w zakładce Ogłoszenia.

AUTOPROMOCJA

WWW.IKOMUNIKATY.PL

Ogłoszenia w Dzienniku Gazecie Prawnej

gazeta + internet

Ewa Gromek-Tyburska ewa.gromek@infor.pl, tel. + 48 510 024 764
Kinga Cikacz kinga.cikacz@infor.pl, tel. + 48 668 450 116
Ewa Micek ewa.micek@infor.pl, tel. + 48 519 337 889

eprasa.pl 28ea867565

Kultura

Odrzucając strach

Pod koniec 1956 r. „w pewnej kawiarni w La Placie, gdzie grało się w szachy (...), w duszną letnią noc przy piwie" niespełna 30-letni Rodolfo Walsh słyszy, jak ktoś wypowiada zdanie: „Jeden z rozstrzelanych żyje"

Piotr

Kofta

„Nie wiem, co właściwie przyciąga moją uwagę w tej niejasnej, odległej, najeżonej nieprawdopodobieństwami historii. Nie wiem, dlaczego proszę o rozmowę z tamtym człowiekiem" – napisze później Walsh w prologu do powstałej na bazie tego nagłego zainteresowania „Operacji Masakra", jednego z najsłynniejszych latynoamerykańskich reportaży, będącego zarazem formalnie pionierską powieścią non fiction.

To fenomenalna opowieść o spartaczonej egzekucji – o katach i ofiarach, o przemocy, autorytaryzmie, bezkarności władzy i roli przypadku. Nie mam pojęcia, dlaczego musieliśmy na polski przekład tej książki czekać aż 70 lat, ale to już nieistotne: „Operacja Masakra", nawet wyjęta z ówczesnego kontekstu, pozostaje tekstem aktualnym.

Krwawe marzenie

Krótko o faktach: w 1955 r. grupa generałów dokonała w Argentynie udanego zamachu stanu, po którym nastąpiły autorytarne rządy, w przekazie propagandowym nazywane Rewolucją Wyzwoleńczą. Zamach stanu obalił – też autorytarną – władzę Juana Perón a. Perónizm, populistyczny ruch socjalistyczno-narodowy, trudno klarownie zdefiniować, posługując się współczesnymi kategoriami, niemniej Perón miał rzeczywiste poparcie niższych warstw społeczeństwa; warto też wspomnieć, że kobiety uzyskały w Argentynie prawo wyborcze dopiero za jego pierwszych rządów, w 1947 r.

Siłą rzeczy generałowie od rewolucji byli przedstawicielami elit chcących przywrócić dawne porządki, co wpisywało się w logikę przemian argentyńskiego systemu politycznego, w którym decydujące było krwawe marzenie o powrocie ancien régime'u. „Argentyna ukształtowała się w XIX w. jako bogaty kraj biednych w większości ludzi, niechętny wszelkiej sensownej redystrybucji ekonomicznej i odmawiający ogromnej masie swoich, powiedzmy, obywateli jakiejkolwiek sprawczości politycznej" – pisze tłumaczka „Operacji Masakra" Barbara Jaroszuk w wyczerpującym posłowiu do książki. Skrajne nierówności napędzała także autentyczna nienawiść i paniczny strach, jakie klasy wyższe przejawiały względem klasy ludowej.

W każdym razie w połowie 1956 r. zwolennicy Perón a postanowili odzyskać władzę – w nocy z 9 na 10 czerwca doszło w Buenos Aires do walk ulicznych i desperackiego przejęcia części posterunków wojskowych. Był to bunt o ograniczonym zasięgu i całkiem nieudany, jego dowódców bądź zgładzono, bądź aresztowano. Przy okazji jednak policja wytypowała pewną posesję jako miejsce, gdzie spotykają się niższej rangi spiskowcy. W czasie nalotu aresztowano kilkunastu mężczyzn. Problem w tym, że powiązania z perónizmem miało paru z nich, reszta po prostu albo mieszkała w pobliżu, albo wpadła do znajomych posiadających odbiornik radiowy, żeby posłuchać relacji z meczu bokserskiego – w mieście tak wielkim jak Buenos nawet wojskowe przewroty mogą być niesłyszalne w sąsiednim kwartale ulic.

Rozstrzelać ich

Władza jednak się nie myli: skoro aresztowała, to znaczy, że miała powód. O północy wprowadzono w kraju stan wojenny, co z przypadkowych aresztantów uczyniło nagle (i wbrew prawu, które nie działa wstecz) zdrajców ojczyzny. Dowodzący akcją otrzymuje więc z centrali rozkaz: rozstrzelać ich. Zatrzymanych mężczyzn funkcjonariusze wywlekają z policyjnego dołka, pakują na ciężarówkę i – wciąż ich oszukując co do celu podróży – zaczynają po nocy szukać dobrego miejsca na rozwałkę. Potem wszystko idzie nie tak: kiedy ciężarówka zatrzymuje się przy jakichś nieużytkach i ma się odbyć egzekucja, część aresztowanych (w tym faktyczni peroniści) ucieka w ciemność. Nieudolni policjanci ostatecznie faszerują kulami pięć całkowicie niewinnych, bezbronnych i sparaliżowanych strachem osób. Przyszły pierwszy rozmówca Walsha, Juan Carlos Livraga, przeżywa, ponieważ – postrzelony dwukrotnie w twarz – skutecznie udaje trupa, gdy gliniarze chodzą i dobijają rannych.

Czy było to wydarzenie istotne? Na takie okazje język ma stosowne idiomy. Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą. Nie zrobisz omleta, nie rozbijając jajek. A jednak Walsh, choć był w tamtym czasie przeciwnikiem perónizmu i zwolennikiem Rewolucji Wyzwoleńczej, zaczyna się przyglądać działaniom rządu, z którym sympatyzuje. W pewnym sensie jest tak, że to nie on wybiera temat, lecz temat wybiera jego. „[Walsh] był najmniej prawdopodobną osobą do wdawania się w takie sprawy: zwykłym tłumaczem, pismakiem freelancerem, autorem mało odkrywczych opowiadań kryminalnych, w których ludzie zabijali się z zazdrości lub chciwości, ale nigdy przez politykę albo – co gorsza – za sprawą wykonywania rozkazów" – pisze o autorze „Operacji Masakra" cytowany przez Barbarę Jaroszuk Marcelo Figueras w biograficznej powieści „El negro corazón del crimen" (Czarne serce zbrodni).

Walsh, odkrywając, niejednokrotnie w absurdalnych okolicznościach, kolejnych ocalałych z egzekucji i wchodząc coraz głębiej w rekonstrukcję wydarzeń z nocy z 9 na 10 czerwca 1956 r., dojrzewa do decyzji, by pójść z państwem argentyńskim na dziennikarską i sądową wojnę. Pomaga mu w tym współpracowniczka Enriqueta Muñiz. Owa decyzja wymaga od Walsha nie tylko odwagi w kwestii zerwania z dotychczasowym światopoglądem, lecz także odwagi w sensie ścisłym: dyktatura prześladuje i morduje swoich wrogów. Kolejne artykuły prasowe przekształcają się w książkę. A książka, przybierająca zresztą ostateczną formę przez długie lata (czego śladem są liczne przedmowy i posłowia do kolejnych wydań, zamieszczone w polskim przekładzie), odkrywa w działaniu nowy gatunek literacki: reportaż, ale z czynnym udziałem reportera; przedstawiający fabularną rekonstrukcję faktycznych wydarzeń, ale z całym bagażem niepewności i domysłów; traktujący bohaterów trochę jak postaci literackie, ale bez odbierania im autentyczności; subiektywny w stylu i ocenach. A przecież „Z zimną krwią" Trumana Capote'a ukaże się dopiero w 10 lat po „Operacji Masakra".

I on sam ofiarą

Być może najważniejsze w książce Walsha, mimo jej literacko wnikliwej błyskotliwości, jest i tak co innego: odrzucenie strachu i konformizmu na rzecz potrzeby elementarnej uczciwości. Wbrew wszystkiemu. Bo oczywiście sprawy mają się tak, że autorytarna władza lubi się posługiwać przemocą bez względu na długość i szerokość geograficzną, a nie lubi za owo stosowanie przemocy ponosić odpowiedzialności. Po to właśnie m.in. ma tajne służby, media, sądy i usłużnych historyków, żeby napisać na własny użytek nową wersję przeszłości. „Operacja Masakra" niejako antycypuje to, co się stało w następnych latach ze sprawą policyjnych morderstw – żaden wyrok w tej sprawie nigdy nie zapadł. Będąc zatem moralnym zwycięstwem, reportaż Walsha jest jednocześnie zapisem totalnej klęski w konfrontacji z cynicznym, manipulatorskim samozadowoleniem państwa.

Inna sprawa, że jest także zapisem klęski – i bohaterstwa – w innym sensie. Oto w 1976 r. argentyńscy generałowie dokonali kolejnego zamachu stanu, znów obalając perónistowskie rządy. Tym razem nie zamierzali powtórzyć błędów poprzedników – junta gen. Videli zabiła kilkadziesiąt tysięcy przeciwników politycznych, a resztę społeczeństwa sterroryzowała i pogrążyła w nędzy. Jedną z ofiar reżimu stała się córka Walsha, Victoria, działająca w perónistowskiej partyzantce.

On sam również przyłączył się do opozycji, a 24 marca 1977 r. rozesłał do gazet i korespondentów prasy zagranicznej „List otwarty pisarza do junty wojskowej" (ten wstrząsający dokument, obnażający zbrodniczą naturę dyktatury – tej konkretnej i każdej innej – tłumaczka i wydawca dołączyli do tekstu „Operacji Masakra"), wydając na siebie pewny wyrok śmierci. Już następnego dnia na jednej z ulic Buenos Aires został postrzelony i porwany przez reżimową bojówkę. Jego dalszy los pozostaje nieznany. ©℗

Rodolfo Walsh

„Operacja Masakra", przeł. Barbara Jaroszuk, ArtRage, Warszawa 2026



eprasa.pl 28ea867565



FOT. WOJTEK GÓRSKI

Fiasko australijskiego eksperymentu

Rafał Woś

W grudniu 2025 r. Australia stała się pierwszym krajem, który zakazał nastolatkom (przed 16. rokiem życia) korzystania z mediów społecznościowych. Efekty tej decyzji są takie, jakich można się było spodziewać. Czyli nic się nie zmieniło.

Ale zacznijmy od początku. Prawo uchwalono w 2024 r., a świat pochwalił lewicowy rząd Anthony'ego Albanese za odwagę w walce z jednym z największych problemów naszych czasów. Wiadomo – sieć jest ściekiem, pełnym zła, przemocy i wszelkiej maści prawicowych treści, więc państwo powinno coś z tym zrobić. Któż chciałby się przeciwstawić takiemu dictum? Zwłaszcza w tak superpoprawnym kraju, jakim stała się współczesna Australia. Wprowadzić można każdą regulację. Do tego potrzebna jest tylko wola polityczna i większość w izbie ustawodawczej. I tak też się stało. Online Safety Amendment Act (OSA) wszedł w życie 10 grudnia ubiegłego roku. Wprowadził zakaz obecności nastolatków przed ukończeniem 16 lat na takich platformach, jak: Facebook, Instagram, Reddit, Snapchat, TikTok, X czy YT. Spod zakazu wyłączono komunikatory i platformy gamerskie.

I co? I jest, jak było. Taka ocena płynie z dwóch badań przeprowadzonych wiosną tego roku. Przeprowadziła je grupa ekonomistów behawioralnych pod kierunkiem słynnego guru tej dziedziny, Amerykanina Cassa Sunsteina.

Wynika z nich, że zakaz nie jest przestrzegany. Ledwie co piąty Australijczyk w wieku 14–15 lat deklaruje, że nie ma go w mediach społecznościowych. Jednocześnie trzy czwarte badanych przyznało, że używało ich regularnie w tygodniu poprzedzającym sondaż; ankietowani także nie bardzo wiedzieli, dlaczego mieliby tego nie robić. Zdecydowana większość młodych określała sposoby obejścia oficjalnego zakazu jako – nomen omen – „dziecinadę". Wśród metod wymieniali podawanie fałszywych dat urodzenia, korzystanie z profilów należących do starszego rodzeństwa lub znajomych, stosowanie VPN-ów, czyli powszechnie dostępnych narzędzi do łatwej zmiany adresu IP, co pozwala symulować logowanie się do sieci z dowolnego miejsca na Ziemi.

Tylko jeden na dziesięciu młodych Australijczyków sądzi, że istnieją jakieś kary za nieprzestrzeganie nowego prawa. I znowu słusznie, bo ustawodawca takich kar dla użytkowników nie przewidział. Sankcja została umieszczona wyłącznie po stronie podażowej – karą finansową mogą zostać ukarane platformy społecznościowe, które nie podejmą „rozsądnych kroków" w celu powstrzymania młodych przed wchodzeniem do ich serwisów. Młodzi wchodzą, ale kary się nie sypią. Przepis ten uznać można za równie martwy co papugę ze skeczu Monty Pythona. No chyba że ktoś woli wierzyć, iż ona tylko śpi.

Ale ekonomiści od Sunsteina zwracają uwagę na coś dalece ważniejszego w sprawie OSA. Jedyną szansą wprowadzenia trwałej społecznej zmiany jest stworzenie trendu – swego rodzaju mody na niesiedzenie w sieci. A to się nie dzieje. Z sondażu wynika, że tendencja jest odwrotna. Australijskie nastolatki uważają tych, którzy stosują się do zakazu, za „mniej popularnych". A pamiętać trzeba, że popularność była, jest i będzie najmocniejszą walutą w świecie dzieci i młodzieży. Jeżeli więc ci, co są poza „soszialami", uważani są za gorszych i nudnych, to nie ma żadnych naturalnych zachęt do tego, by media społecznościowe porzucać. Przeciwnie – trzeba w nich być. Z zakazem czy bez niego, to już dla samych użytkowników nie ma żadnego znaczenia.

Czy australijski eksperyment jest fikcją? Jak najbardziej. Stworzoną jako wzniosły akt polityczny, dzięki któremu dorośli mogli poczuć się lepiej i zadowolić się poczuciem, że coś zostało zrobione. A że to coś de facto nie znaczy nic? O tym cicho, sza!, bo po co psuć sobie dobry humor. ©℗

Autor jest redaktorem naczelnym „Tygodnika Solidarność"

Jak obstawianie przyszłości pomaga prognozować gospodarkę

Choć rynki predykcyjne nie zastąpią tradycyjnych metod, stają się coraz cenniejszym uzupełnieniem pomiaru oczekiwań gospodarczych – szczególnie tam, gdzie liczą się szybkość i pełnia informacji

Paweł Struski

Autor jest ekonomistą GRAPE

Oczekiwania podmiotów gospodarczych dotyczące przyszłej sytuacji ekonomicznej mają wpływ na przebieg procesów gospodarczych. Z tego względu muszą się z nimi liczyć instytucje prowadzące politykę makroekonomiczną. Przykładowo oczekiwania inflacyjne stanowią jeden z głównych kanałów transmisji polityki pieniężnej. W związku z tym banki centralne z chęcią monitorują te oczekiwania.

Pomiar oczekiwań nie jest zadaniem łatwym. Stosunkowo popularne są badania ankietowe konsumentów, przedsiębiorstw i ekonomistów. Obarczone są one jednak istotnym ograniczeniem: deklaracje nie są powiązane z realnymi decyzjami, więc respondenci nie muszą się starać przy wypełnianiu kwestionariuszy. Dopiero gdy pojawia się realny bodziec do postawienia prognozy, można być pewniejszym wyników.

Dobrą alternatywą jest wnioskowanie o oczekiwaniach na podstawie cen instrumentów finansowych, których wartość zależy bezpośrednio od określonych zmiennych makroekonomicznych, takich jak np. inflacja. Również to podejście nie jest wolne od wad – przede wszystkim dlatego, że liczba takich rynków jest ograniczona, co zawęża zakres mierzalnych oczekiwań.

Coraz większą popularność zyskują natomiast rynki predykcyjne. Ekonomiści Anthony Diercks (Fed), Jared Dean Katz (Uniwersytet Północno-Zachodni) i Jonathan Wright (Uniwersytet Johnsa Hopkinsa) przeanalizowali funkcjonowanie platformy Kalshi – regulowanego w Stanach Zjednoczonych rynku, na którym uczestnicy mogą zawierać zakłady dotyczące głównych wskaźników makroekonomicznych, takich jak inflacja, zatrudnienie czy decyzje banku centralnego w sprawie stóp procentowych.

Mechanizm jest prosty. Na platformie można kupić kontrakt, który wypłaca jednego dolara, jeśli określone zdarzenie nastąpi – np. jeśli roczna inflacja przekroczy 2,5 proc. (ściślej: roczna zmiana wskaźnika cen towarów i usług konsumpcyjnych, CPI). Cena takiego kontraktu – powiedzmy 80 centów – odzwierciedla zbiorową ocenę prawdopodobieństwa realizacji danego scenariusza. Zestawiając kontrakty dla różnych progów, można odtworzyć pełny rozkład prawdopodobieństwa: nie tylko dla założenia, że inflacja wyniesie ok. 2,5 proc., lecz np. także dla takiego, że istnieje 15-proc. prawdopodobieństwo przekroczenia 3 proc. To znacznie bogatsza informacja niż pojedyncza prognoza punktowa.

Jak takie rynkowe oczekiwania mają się do rzeczywistości? Według tego badania prognozy Kalshi dotyczące stóp procentowych w USA są równie trafne jak przewidywania profesjonalistów ankietowanych przez oddział Fed w Nowym Jorku, przy czym ankiety są publikowane co sześć tygodni, podczas gdy ceny na Kalshi aktualizują się w czasie rzeczywistym.

Jedną z głównych zalet Kalshi jest szeroki zakres wskaźników, dla których można obserwować oczekiwania. O ile tradycyjne rynki finansowe umożliwiały wnioskowanie o inflacji czy stopach procentowych, o tyle Kalshi obejmuje także takie zmienne jak stopa bezrobocia czy tempo wzrostu gospodarczego – dotąd dostępne głównie w badaniach ankietowych. Poszerza to wachlarz wskaźników, dla których można monitorować oczekiwania w czasie rzeczywistym, co pozwala dokładniej śledzić zmiany nastrojów gospodarczych. Przykładowo na początku kwietnia 2025 r., w okresie narastających obaw związanych z polityką handlową, inwestorzy na Kalshi wyraźnie zwiększyli przypisywane prawdopodobieństwo scenariusza jednocześnie wysokiej inflacji i niskiego wzrostu gospodarczego – klasycznej stagflacji. Zmiana ta była widoczna z dnia na dzień, podczas gdy porównywalne dane ankietowe pojawiłyby się dopiero po kilku tygodniach, a nawet miesiącach.

Rynki predykcyjne nie są oczywiście pozbawione ograniczeń. Ceny kontraktów odzwierciedlają nie tylko subiektywne prawdopodobieństwa, lecz także skłonność uczestników do zabezpieczania się przed niekorzystnymi scenariuszami. Ponadto kontrakty dotyczące skrajnych wyników często cechują się niską płynnością, co może prowadzić do większego szumu w oszacowaniach. Choć rynki predykcyjne nie zastąpią tradycyjnych metod, stają się coraz cenniejszym uzupełnieniem pomiaru oczekiwań gospodarczych – szczególnie tam, gdzie liczą się szybkość i pełnia informacji. ©℗

Słuchaj podcastu GRAPE | Tłoczone z danych „Czy da się osiągnąć zysk bez ryzyka?"

eprasa.pl 28ea867565